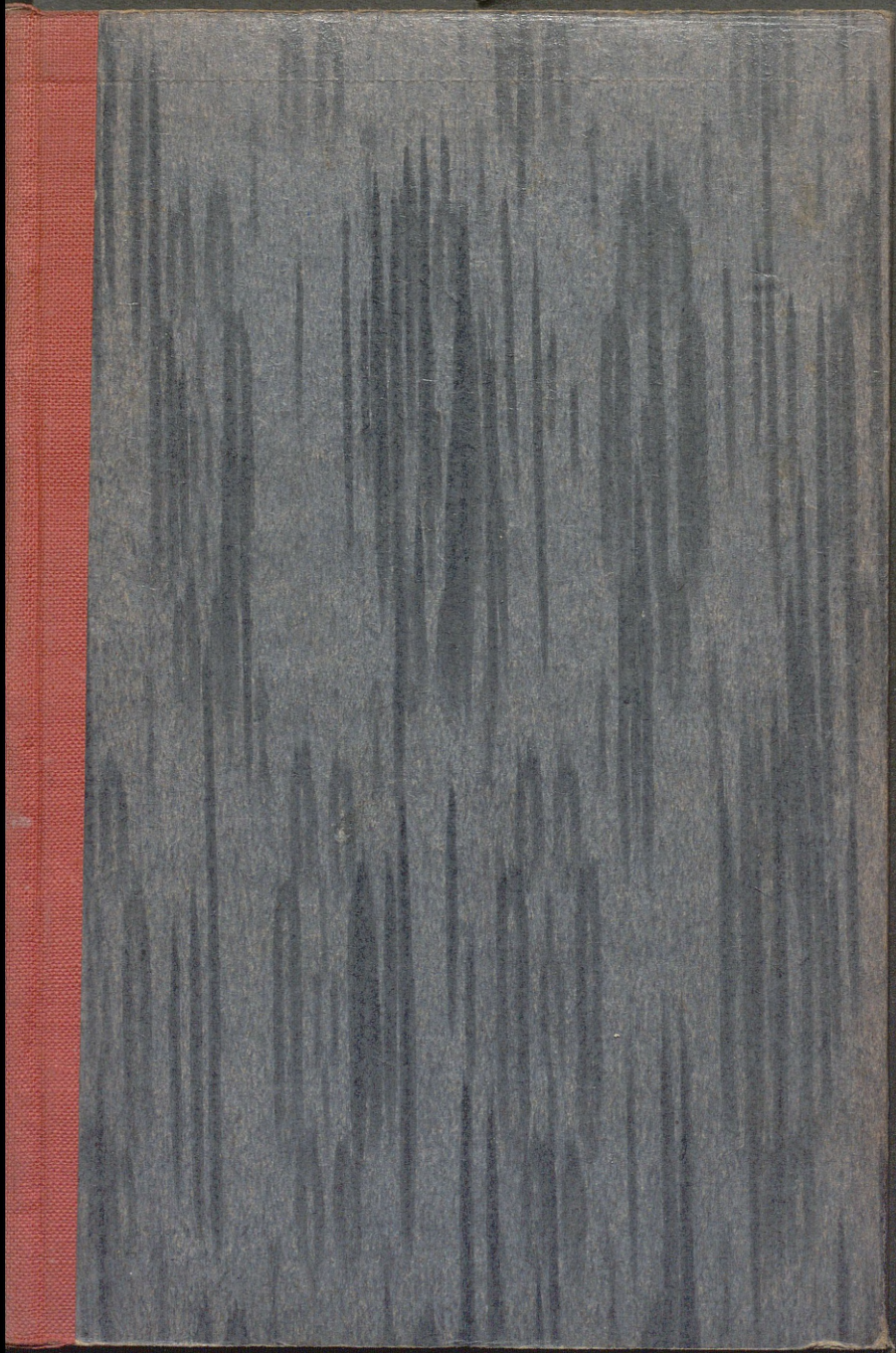


Grey Scale #13

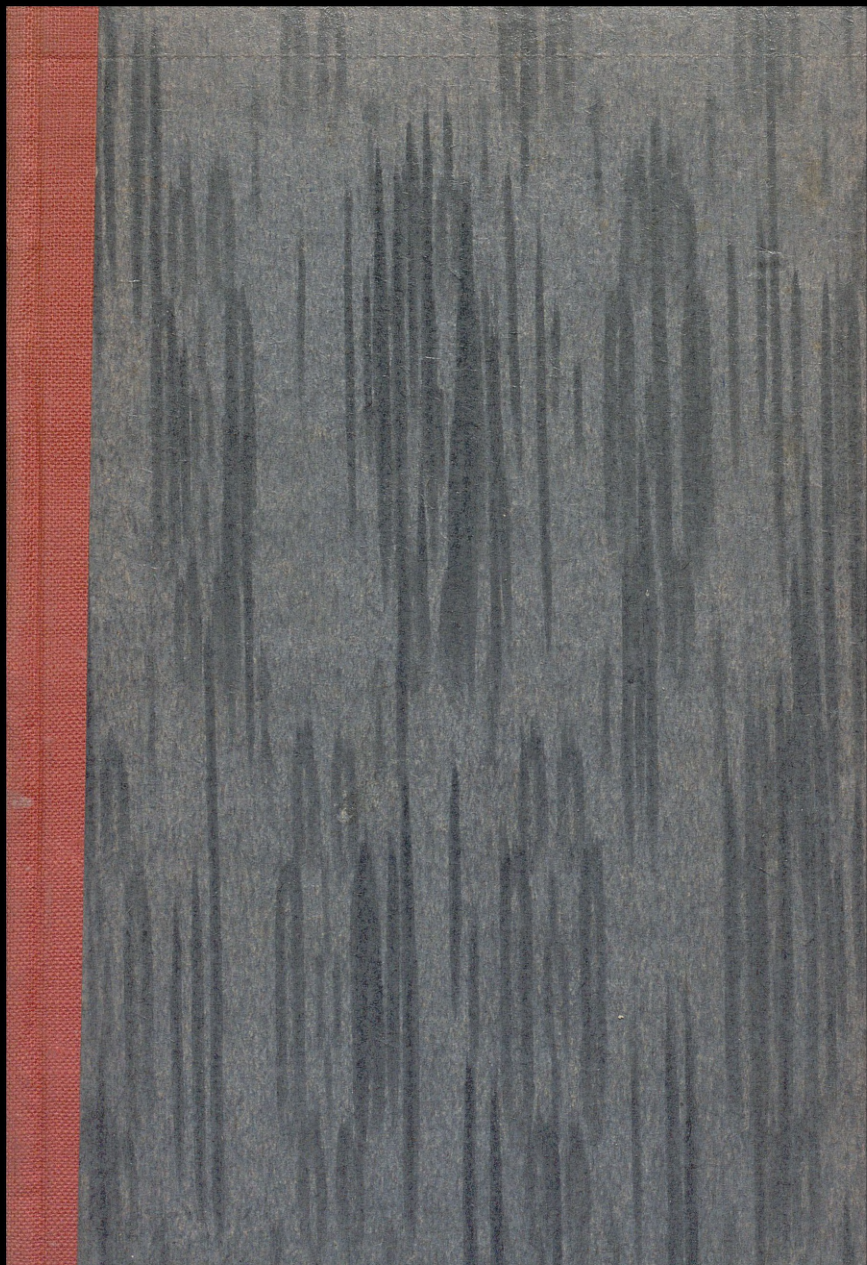


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13





Trzy lata w więzieniu.

LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY
LONDON

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

R 487

Trzy lata w więzieniu pruskim

Pamiętnik więzienny
Dra Kazimierza Rakowskiego

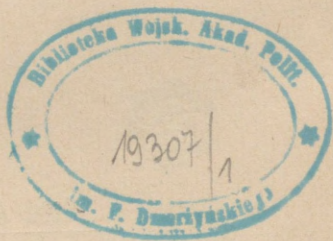


Ćena 40 kop.

W prenum. 19¹/₄ kop.

WARSZAWA
Druk Ed. Nicz i S-ka Nowy-Świat 70.
Tel. Nr 27-73.

92



W Październiku 1901 roku wyjechałem do Wrocławia, aby tam omówić sprawy wyborcze Górnego Śląska.

Z owej wycieczki do Wrocławia, zamierzonej na jeden dzień, powróciłem 4 grudnia 1904 roku, czyli po wpływie 3-ch lat i prawie 2-ch miesięcy.

Com przez ten czas przeżył i com widział, ogłaszam, bo warto. Pamiętnik mój, za oryginalność którego rękę, może jest ciekawym „dokumentem ludzkim“. To jeden wzgląd, który pobudza mnie do publikacyi. A drugi wzgląd jest ten, że mogę publicznie wykazać barbarzyństwa, wołające o pomstę do nieba.

Od czerwca 1902 począwszy, zacząłem widywać rzeczy straszne, o jakich cywilizowany człowiek nie ma pojęcia—i jeśli nieraz może znużę suchem i rzeczowo ścisłem opowiadaniem, podobnem do aktu oskarżenia, to niechajże czytelnik nie zapomina, że ma w rzeczy samej przed sobą akt oskarżenia.

Opisy, które tu publikuję, zmuszą prokuratorę pruską do rozpoczęcia śledztwa—wywołają monstrualny proces—odbiją się nietylko głośnem echem w prasie europejskiej, ale bezwątpienia dostarczą tematu dla debat parlamentarnych. A, pisząc w podobnych warunkach, nigdy nie można być dość rzeczowym, dość ścisłym, dość zwięzłym i skrupulatnym. Muszę więc podawać fakta w takiej formie, aby ich żadna oficjalna dyalektyka pruska zatuszować nie mogła.

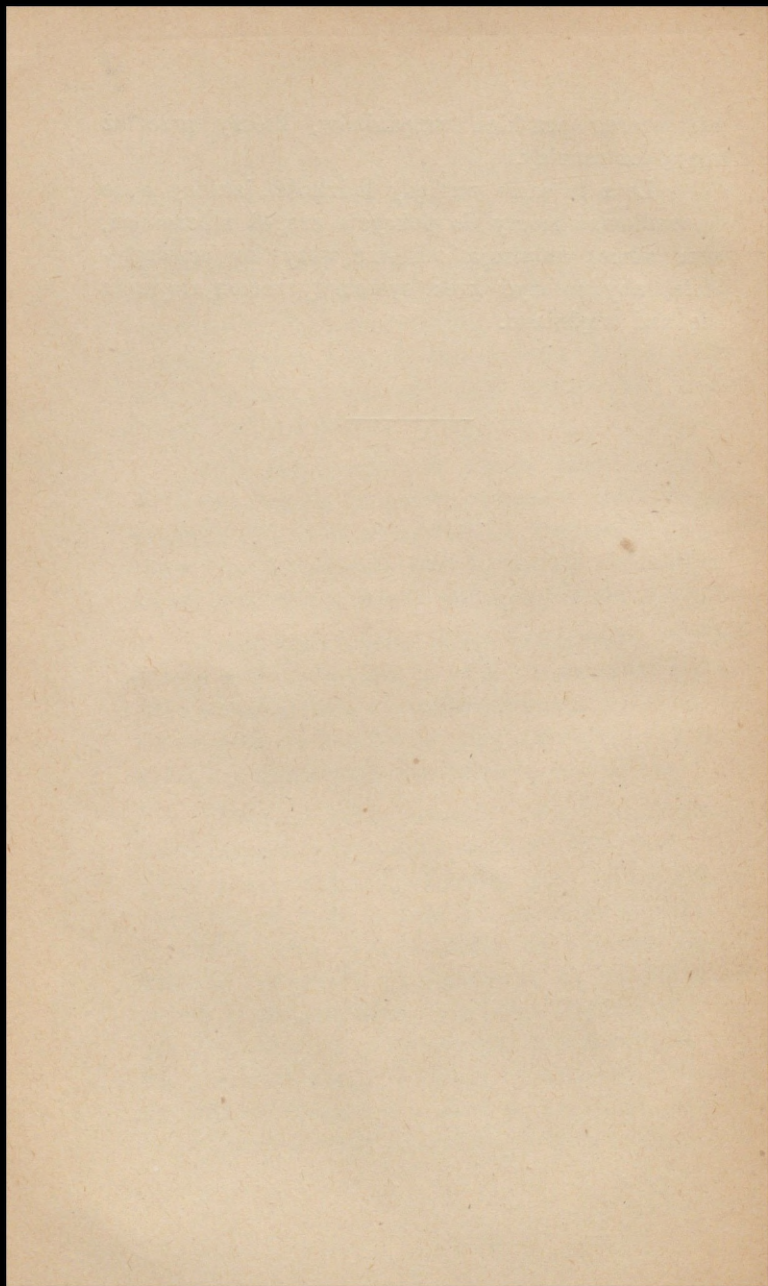
Opis mój podaję w formie pamiętnika, t. j. w formie takiej, w jakiej wrażenia moje istotnie w ciągu lat 3-ich spisywałem. Pamiętnik ten, po kilka i po kilkanaście kartek, jak się dało, przysyłałem bez wiedzy władz więziennych do Krakowa.

Przez zatrzymanie formy pamiętnika, publikacya ta coprawda traci o tyle, że materyał nie zostaje ekonomicznie i planowo wyzyskany—lecz zachowuje za to koloryt oryginalności, który w tego rodzaju publikacjach nie ostatnią jest zaletą.

Wreszcie jedna uwaga. Przy aresztowaniu oświadczyłem radcy policyjnemu we Wrocławiu, dnia 15-go października 1901 roku, przy świadkach, że wszystko, co będę widział i o czem się dowiem, aż do chwili mego wypuszczenia na wolność, opublikuję; ta zapowiedź moja pojawiła się nawet w gazetach w październiku 1901 roku. Byłem więc wobec Prusaków o tyle lojalnym przeciwnikiem, żem ich uprzedził, czego się mają spodziewać. Nie pokrywam milczeniem nic, choć mi przykro pomyśleć, że publikacya moja niewątpliwie wtrąci do więzie-

nia szereg pruskich urzędników, którzy przecież mają też rodziny.

Lecz te same względy ludzkości, jakieby mnie spowodować mogły do pokrycia czegoś milczeniem, tem silniej nakazują odsłonić wszystko bezwzględnie, aby położyć kres systematycznemu znęcaniu się nad więźniami.



Dnia 21 września (1901 r.) przekradłem się przez granicę pruską, aby zrobić objazd wsi powiatu pszczyńskiego i omówić sprawę przyszłych wyborów. Rano przyjechałem do Peczyny („Pless“). Starożytne to a milutkie miasteczko. Mam parę adresów ludzi, których chcę odwiedzić.

Oryginalny strój wieśniaczek na samym wstępie przyciąga moją uwagę. Kobiety w białych czepeczkach, ze związanymi pod szyją wstęgami, spadającymi na piersi, w kaftanach czarnych, puszczonych z tyłu luźno, w bufiastych spódnicach, szalenie krótkich, z pod których widać z pół tuzina spódnic. Spódnice ich są tak bufiaste, że niczem krynoliny. Mężczyźni noszą krótkie sukienne żakiety, ciemnego koloru, z tyłu rozcięte, ozdobione szamerowaniami, z przodu zapięte na jeden rząd guzików. Nazywa się to k a b a t. Pod kabatem jest westa, czyli kamizela. Spodnie w długich butach. Miny tęgie, twarze okolone przeważnie pełnym zarostem.

Idę do jednego z panów, od którego chcę do-

stać informacji. Szkoda, że nie mogę nigdy poprzednio zawiadomić o moim przyjeździe, bo na poczcie pruskiej listy otwierają. Spadam jak z chmur, nie mając gwarancyi, czy kogo zastanę. Nie wiem, gdzie mieszka, ale właśnie przechodzę koło księgarni Lockay'a, którą Jaworski w swej „książce adresowej handlu i przemysłu polskiego“ wymienia jako polską. Kupię parę widoków i dowiem się o adres. Następuje taka rozmowa:

— Proszę o kartkę z widokami.

— „*Verstehe nicht polnisch*“.

— Ja nie rozumiem po niemiecku.

— „*Werde meinen Kollegen rufen, der versteht*“.

— Dobrze.

Przychodzi ów kolega, drugi subiekt i daje mi kartki z widokami. Napisów polskich na nich niema. Wszystko niemieckie. Trzeba będzie pomyśleć o polskich kartach z widokami Ślązka. Mój kupczyk cokolwiek bełkoce po polsku, ludowem narzeczem. Przy mnie przesunęło się kilka osób kupujących, wszyscy mówili gwarą górnośląską. Ale to kłamstwo, żeby nie można było rozumieć. Owszem, język ten od literackiego polskiego różni się tyle, co nasz wiejski w Królestwie. Filolog by się nim zachwycać powinien, tyle w nim „skamieniałości“ z zamierzchłych wieków. Słyszac tę mowę, gubię się myślą gdzieś w piastowskich czasach.

Usłużny kupczyk prowadzi mnie do mieszkania osoby, której poszukiwałem. Zastaję w domu. Człowiek inteligentny, trzyma gazety polskie. Widzę na stole mój tygodnik i odrazu czuję się jak

u siebie w domu. Wszak on mnie zna dobrze, co tydzień rozmawiamy ze sobą... Więc serdecznie się ściskamy, jak starzy znajomi.

Po krótkim wstępie, przystępuję do rzeczy. Rozwijam cały mój plan. Proszę o zdanie. Napotykam zachętę i nadzieję, że wszystko w okręgu rybnicko-pszczyńskim pójdzie dobrze. Miasta wprawdzie prawie czysto niemieckie, ale lud po wsiach bardziej polski i mniej mieszany, niż w Księstwie poznańskim. Ale wszędzie brak inicjatywy.

Proszę więc o adresy, przechodzę z nim wszystkie miejscowości powiatu, jedną po drugiej, pytając o ludzi, którymby powierzyć można pracę przedwyborczą. W każdej miejscowości chcę mieć 2—4 ludzi. Wycisnąłem z mego gospodarza informacji, ile się dało i wogóle jestem zadowolony. Podał dość dużo adresów. Porobiłem sobie notatki o wsiach i wiem, gdzie trzeba mieć na oku jakiego księdza germanizatora. To nader ważne. Gdy przyjadę do takiej wsi, już będę coś wiedział, a gospodarzom, z którymi będę mówił, nie będę świecił nieznaną im ich stosunków.

Po tej wizycie następuje druga, u doktora Hagera, lekarza. I tu również znajduję to samo przyjęcie. Na stole w saloniku znowu nasze pismo, a mnie witają jak starego znajomego, usłyszawszy nazwisko. Sam doktor, jego małżonka i dzieci — wszystko to wita z serdecznością. Zatrzymują mnie na obiad. Mój gospodarz daje mi wyborne informacje. „Potrzeba tylko organizacyi — mówi — a pójdzie wszystko dobrze“.

Serce mi bije, jak niegdyś przy egzaminie na maturę, a piersi mi rozsadza myśl, że ja mam właśnie być jednym z tych, którzy w postaci umysłowej organizacyi wyborczej chcą znaleźć ów punkt archimedesowy, do którego dość przyłożyć inicjatywę jednego człowieka, aby poruszyć całą prowincję.

Mój towarzysz się rozpala. Tak mało tu mają sposobności obcowania z inteligentnymi Polakami! Miasteczko zupełnie zniemczone. Jego zupełnie bojkotują. Klientelę ma tylko z okolicy. Lud polski ciągnie do Polaka lekarza. Mógłby tu też osiedlić się i kupiec Polak i kilku rzemieślników. Mieliby dobre utrzymanie.

Wynikiem konferencyi jest kilkanaście nowych adresów i utwierdzenie mnie w przekonaniu, że zwycięstwo w tym okręgu mogłoby być pewne, tylko trzeba organizacyi — nie wiecej.

Chcę zwiedzić kilka wsi. Po obiedzie najmujemy z trudnością furmankę i dalejże jazda do Ćwiklic, do Miedzny, do Grzawy. W Miedznej mam wyborczego znajomego (z listownej wymiany zdań) gospodarza Jana Kucza. Ma to być senior gminy, człowiek zamożny i wpływowy. Jadąc do niego, przejeżdżamy całą wieś. Prawdziwa to staropolska wieś, bez obcych domieszek. Długim sznurem, wyciągniętym na przestrzeni kilku kilometrów, ciągną się domostwa. Wyglądają porządnie, schludnie, zamożnie.

Po drodze spotykamy gromadki dzieci i kobiety.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków.

Pytamy jednej:

— A nie wiem, czy oni, jak ta mieszka Jan Kuc?

Kobiecina się śmieje i wskazuje na stojące obok siebie dziewczę i mówi:

— A dyć to od Kuca najmłodsza.

— Tak? A to chodźże sam, dziewczusko, i pokaż nam drogę.

Dziewuszka z długimi splotami płowych włosów i wstążeczkami we włosach idzie z nami. Konie zostawiamy na drodze. Bufiasta jej suknia stanowić musi nielada przedmiot jej dumy. Wciąż się uśmiecha. Pewnie ojciec będą kontenci z gości, bo goście uczeni.

Po drodze kościół. Wstępujemy — otwarty — pusty. Nie widziałem nigdy nic równie trącającego „myszką” starożytności. Wieki przesunęły się bez śladu po olbrzymich belkach, na których się wspiera skromna budowa kościołka. Jest to stary polski gotyk, oszczędzony tylko dostawionymi w późniejszych czasach kopułami. Szkoda, że nie mogłem dostać nigdzie fotografii.

Po południu — nieszpory się już skończyły — ten cichy a niesłychanie polski kościółek przemawia do mnie tak silnie, że gdyby nie zimny, chłodny sceptyk, trzymający nerwy we mnie na wodzy, chyba bym zaczął całować tę ziemię i plackiem padłbym w tym kościółku. Nigdzie ani słowa po niemiecku. We wsi nikt po niemiecku nie rozumie. Na ścianach kościoła takie mi znane, swojskie, tak miłe w swej niezdarnej prostocie obrazy Męki Pańskiej, jakby żywcem przeniesione z kościołów wiej-

skich w Królestwie. Napisy — polskie, w zakrytych za szkłem modlitwy — polskie. A wszystko ogromnie starożytne. Widać to po żółkłych papierach. Tu się kończy potęga rządu pruskiego!

Ślązka Górnego nie trzeba wcale polszczyć, bo on jest polskim!

I dowiaduję się, że gdy ksiądz tutejszy zaprowadzić chciał niemieckie śpiewy dzieci szkolnych, zrobiono z tych śpiewów niemal kocią muzykę, tak że ludzie uciekali z kościoła.

Pytam, czy był tu kto, ot tak, z wielkiego świata, jaki podróżny dla zwiedzenia, jaki literat, jaki redaktor? Nie—nie był tu nigdy nikt, a w Pszczyźnie nie był ktoś przed kilkunasty laty, ale obejrzał starożytności, a o wieś polską się nie troszczył.

Kroczę jak w zaczarowanym świecie. Czuję, że odkrywają się przedemną jakieś rozległe horyzonty, jakiś świat, pełen imponującej powagi, prostoty, pewności siebie i nadziei.

Po chwili jestem u Kuczów. Ich dom — to pięknie podmurowany i sklepiony masywny budynek, z werendą, z ogródkiem. Zastajemy w domu same kobiety. Ojciec zaraz przyjdzie. Tymczasem siadamy. Izby jasne, przestronne, duże. Mebelki skromne, ale dostatnie. Są książki, widzę ilustracye z naszego poznańskiego tygodnika poprawiane w ramki, za szkłem; uśmiecham się do dobrych znajomych: jestem u siebie w domu.

Gospodyni opowiada nam o tem i o owem. O krowach, koniach, o córkach zamężnych i tych, co są na wydaniu. Miała trzynaścioro dzieci, ośmioro żyje. Wszystkie, oprócz najmłodszej są na swoim.

Tymczasem gospodarz się zjawia. Tęgi, barczysty mężczyzna, bez zarostu i wąsów. Siwe włosy, twarz zorana zmarszczkami, myśląca, orli nos, oko mądre, badawcze.

Domyślił się odrazu, kto jestem. Gospodyni, widząc, że o polityce mowa, wysunęła się do innej izby po cichu i pomyślała o podwieczorku.

— I cóż z wyborami? — pytam.

— A no cóż? My centrum nie chcemy.

— Ale jeśli mamy coś zrobić, to trzeba zawczasu pomyśleć o organizacyi. Pisałem do was, ojczy, o adresy; z tej wsi macie jeszcze kogo do polecenia?

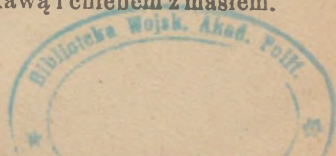
Stary się uśmiechnął i z miną wiejskiego dyktatora na moich aktach wskazujący palec położył. „Piszcie, panie doktorze, nie nazwiska, ale wieść: M i e d ź n a! Ilu nas tu jest, wszyscy pójdziemy, skoro dacie znak. Mówiłem już z ludźmi z naszej wsi“.

— To lubię! — Otóż i cały interes skończony.

Pytam o Górę, o Ćwiklicę, o inne wsie. Stary, o ile może, podaje adresy. W pięć minut rzecz załatwiona.

Podajemy sobie na znak zgody ręce: umowa zawarta. Gdy w innych miejscowościach rzecz będzie przygotowana, da się znak, aby zwołać lud na wiece, wybierze się komitety polskie, a potem niech centrowcy łbem tłuką o ścianę. Jeśli takich ludzi będzie dużo w komitetach na całym Ślązku, to będziemy mieć kilku nowych posłów polskich w parlamencie.

Gospodyni częstuje nas kawą i chlebem z masłem. Wreszcie odjazd.



— „Ostańcie z Bogiem!“

— „Z Bogiem!“

Bryczka żywo się potoczyła.

Wracamy więc do Pszczyny. Krajobraz śliczny, czarujący. W dali widnieją Beskidy — naokoło, poprzecinane żyznymi łąkami, uprawne pola a w pośród nich pojedyncze zagrody z ogródkami. Tu każdy „siodłak“ buduje na swoim gruncie chałupę. Tworzą się z tego takie oazy, których szereg zalega przestrzeń, dzielącą wieś od wsi.

Wracam zadowolony — pół powiatu obrobiłem, adresy mam, do niektórych miejscowości dojadę jeszcze kiedyindziej na rowerze z Oświęcimia.

Z towarzyszem moim mało mówię, bo serce moje jest pełne miłych wrażeń, które przetrawiam w milczeniu. A w pośród myśli, jakby jaki obraz z pomiędzy chmur, przebija nadzieja, że za dwa lata, po wyborach okażą się plony obfite tego siewu.

Na dworcu na odjezdnem czekała mnie niespodzianka. Zjawił się Polak, który po polsku prawie nie umiał już wcale. Wpływowy obywatel w mieście. Zna mnie z opisów hakatastycznych gazet, a dowiedział się od doktora, że przyjechał. Żenowało go, że musiał mówić ze mną po niemiecku.—Będę wam pomagał—szeptał! mi—choć tu mnie uważają za Niemca.— Rozruszałem go wreszcie tak dalece, że zaczął mówić gwarą ludową, choć mocno zepsuta. Rozumiałem dobrze, bo czytuję przecież wciąż listy tych ludzi, nadchodzące do redakcyi. Będzie z niego tęgi pomocnik. Aby go tylko się dało nakłonić, żeby podpisał odezwę wyborczą! Toby był sukces w Pszczynie!

Gdy pociąg zajechał, było kilka osób na moje pożegnanie. Umyślnie mówiłem głośno po polsku, bo tu rzecz niebywała, aby człowiek z inteligencyi mówił po polsku. Tu tylko prostacy mówią po polsku, a nie pasażerowie drugiej klasy. To też wśród obecnych na peronie zauważyłem z tego powodu niezwykłą sensację.

Na pożegnanie ucałowałem się z doktorem, jego chłopakom uściśnienia, pani ucałowanie rączek, a specjalnie już uściskałem mego Polaka, mówiącego po niemiecku. Szepnął mi jeszcze do ucha „*wir werden schon machen*“. To jest doprawdy bajeczne.

Pociąg świsnął i ruszył. Pszczyzna znikła mi w ciemnościach...

Na przyszłą niedzielę pojedę pewnie do Gliwic. Już tam się niecierpliwia, że ich nie odwiedzam...

— — — — —

Dnia 13 października 1901 roku, po szeregu rozmaitych podróży agitacyjnych po górnym Śląsku, otrzymałem z Poznania depeszę od mego wydawcy: „Jutro Wrocław południowym pociągiem“.

Po przeczytaniu tej depeszy byłem niezadowolony, że tak nieostrożnie pod moim adresem wysłał taką wiadomość, ale skoro mnie wzywał, więc widocznie sprawa nagliła i, nie namyślając się dłużej, wyjechałem w niedzielę rano do Wrocławia.

W drodze spotkałem się z panem Wojciechem Korfantym, dzisiejszym posłem. Od niego dowiedziałem się, że bytomski „Katolik“ zawarł już z nie-

mieckimi katolikami układ przeciw postawieniu polskich kandydatów przy wyborach i to właśnie było powodem, dla którego mnie i pana Korfantego zawezwał do Wrocławia mój poznański wydawca: trzeba było niezwłocznie się zdecydować na rozpoczęcie nowego pisma na Górnym Ślązku, któreby sparaliżowało przejście „Katolika“ do niemieckiego obozu i z całym naciskiem podniosło zasadę wybierania tylko Polaków na posłów.

Koferencya nasza w Wrocławiu zakończyła się istotnie decyzją założenia „Górnoślązaka“¹⁾ i umową z panem W. Korfantym, jako redaktorem naczelnym.

Ponieważ rozmowa nasza skończyła się dość późno w nocy, udałem się wraz z panem Biedermanem, wydawcą z Poznania, do hotelu, aby dopiero nazajutrz wrócić do domu. Ostatecznie byłem zadowolony, że przybył do Wrocławia, bez mego współdziałania bowiem cała sprawa założenia „Górnoślązaka“ byłaby może poszła w odwłokę.

Nazajutrz, obudziwszy się dość późno, właśnie zajęty byłem ubieraniem się, pan Biederman zaś na chwilę wyszedł; wtem ktoś puka i, nie czekając na odpowiedź, wsuwają się dwie głowy. Widzę — policya.

— Jestem komisarz kryminalny Gessfein — rzekł jeden z tych panów, kłaniając się i okazał mi blaszkę legitymacyjną. — Mamy wątpliwość, czy

¹⁾ Istniejącego po dziś dzień.

pan jest tym, za kogo się pan tu w hotelu podaje. Proszę o legitymację.

Legitymacyi, oczywiście, nie miałem, bo legalny pobyt w obrębie Prus jest mi zabroniony. Nazwiska zaś mego wymienić nie chciałem, aż do chwili powrotu pana Biedermana do pokoju.

Wreszcie wraca pan Biederman.

Zamieniliśmy słów parę ze sobą, ostatecznie i on uznał, że niema co robić, tylko powiedziec nazwisko. Zresztą namawiał do tego komisarz, zwracając uwagę, że fałszywe legitymowanie się wobec niego mogłoby osobną sprawę karną ściągnąć na mnie. Zapewne. I pożytku by mi nie przyniosło.

Więc wyjmuję kartę wizytową i daję komisarzowi:—Czy tego panowie szukają?—pytam.

— Tak—mówi komisarz.

— No—to jestem do usług.

— Pojedziemy do prezydyum policyjnego w celu spisania protokołu—powiada komisarz—a potem zaraz do sędziego.

Przy tej sposobności zaaresztowali Marcinowi kufer, jako przypuszczalną moją własność. W kufrze były Marcina gazety, trochę broszur śląskich, które mi miał dać i trochę redakcyjnej korespondencji. Jednem słowem bzdurstwa. Oni jednak myśleli, że złapali Bóg wie co i uczepili się tego kufra bardziej, niż mnie.

Pojechaliśmy wszyscy do biura prezydyum policyi.

Tam dopiero, przy spisywaniu protokołu spostrzegłem, że cała formalność obraca się około jakiegoś listu gończego, wydanego przez prokuraturę

poznańską. Spojrzałem na datę: wydany był jakoś w marcu 1901 roku właśnie w porze najgorszych procesów prasowych. Domyśliłem się, że chcą mi zrobić wielką sprawę prasową. Wiedziałem, że to potrwa czas dłuższy.

Z agentami dorożką pojechałem do sędziego. Agent zakomenderował: „*Nach dem Gefängniss*“, i pojechaliśmy. Była godzina może pierwsza po południu. Nie miałem ani kropli wody w ustach od dnia poprzedniego. Prosiłem agentów, aby pozwolili mi po drodze wypić kawę, jako śniadnie,—napotkałem kategoryczną odmowę.

Sędzia śledczy, człowiek miłej powierzchowności, obszedł się ze mną grzecznie, stróżów mych oddalił i zajął się pierwszymi przesłuchami. Podałem swój wiek, pochodzenie, oraz fakt, że nie poczuwam się do żadnej winy. Zapisał to z powagą człowieka, który nie ma żadnej wątpliwości wobec tego, co mu mówią oskarżeni, a jego pomocnik otworzył drzwi, klasnął w dłonie i oznajmił kustoszowi, że ma mnie wytransportować dalej.

Zatrzasnęły się za mną drzwi więzienia.

Razem ze mną wpuszczono pięciu lub sześciu obdartusów.

Jakiś rodzaj furtyana, o odrażającej powierzchowności, z czerwonym nosem, takiegoż koloru kołnierzem u mundura, z krótkim pałasikiem, kazał nam się ustawić w odległości pięciu kroków jeden od drugiego, tuż przy ścianie długiego ciemnego korytarza, i to twarzą do ściany. W tej pozie staliśmy z pół godziny, dopóki nie zebrało się ze dwunastu takich obdartusów. Gdy liczba była pełna, do-

stojnik o czerwonym nosie i kołnierzu takiegoż koloru ustawił nas w szeregu i zaprowadził długimi krętymi schodami na dół ze dwa piętra. Przeszliśmy kilka korytarzy, wreszcie znaleźliśmy się w sekretaryacie więziennym. Zapisywano jednego po drugim, a po tej krótkiej procedurze, przy której odebrano mi jeszcze palto i miano ochotę odebrać krawat, zapędzono do niewielkiej komórki, do której światło wpadało z góry przez małą matową szybkę. Tam już było z pięciu ludzi. Klatka się zupełnie zappełniła, jeden stał koło drugiego. Zaduch był nieopisany. Zresztą, wśród tych ludzi panował bardzo dobry humor, żartowali, śmieli się, rozmawiali w złodziejskiej gwarze. Głównym przedmiotem ich rozmowy był wymiar kary, która ich oczekiwała. Wszyscy bowiem, jak i ja, świeżo dostali się do więzienia, byli w śledztwie. Jeden mówił dobrodusnie: — Jeżeli się przyznam do kradzieży, to mnie wsadzą na trzy miesiące: listopad, grudzień, styczeń. W najgorszą porę w zimie, gdzie znajdę pracę w lutym? Lepiej się nie przyznam, to w śledztwie posiedzę do grudnia. Potem udowodnią, skazają na cztery miesiące, śledztwa nie odliczą i wyjdę w kwietniu. Właśnie na samą porę!

Ten człowiek, mówiący o więzieniu tak, jak o instytucji dobroczynnej dla pozbawionych pracy robotników, niemało mi zaimponował.

Czułem się tak słaby, że ledwie trzymałem na nogach. Jeden z współkolegów, zamkniętych wraz ze mną w tej klatce, gdy spostrzegł, że nie mogę utrzymać się na nogach, powiedział mi:— „Baczność, panie pan“, bo co chwila zagląda tu przez

okienko we drzwiach dozorca; gdy pana tak zataczającego się zobaczy, pójdziesz pan pod zimny prysznic, jako pijany.

Po chwili zaprowadzono mnie do osobnej celi więziennej.

W celi było ciemno. Przez umieszczone tuż pod sufitem zakratowane okienko, zasłonięte matową szybą, wpadał słaby odblask jakiejś umieszczonej w pobliżu latarni. Od ścian i od podłogi wiał przenikający chłód. Dotknąłem ręką posadzki — była asfaltowa, jedna z tych, które w sobie mieszczą zapasy jakby skoncentrowanego zimna i chłodu w czasie najgorętszego lata, a cóż dopiero w połowie października!

Po małej klateczce chodziłem, aby miarowym ruchem zagłuszyć bezładne myśli. Co parę kroków — ściana; wreszcie ten ruch, polegający na zawracaniu co trzy, cztery kroki, podobnym się stał do obracania się w kółko i doprowadzał głowę do zawrotu.

Po kąpeli, jakimiś krętymi schodami, zaprowadzono mnie na drugie czy trzecie piętro. Tam otworzył nowy dozorca przedemną celę, na chwilę przyniósł światło, wskazał mi, że to „moje łóżko“, to jest mój dzban z wodą, to moja miednica, a to kubek do zlewania brudnej wody i nieczystości. Powiedziałem mu, że żądam z lazaretu herbaty, lub kawy, albo mleka—wreszcie choćby gorącej wody, bo nic od wczoraj w ustach nie miałem, lecz on mi na to odrzekł, że jeśli mam jakie życzenia, to je powinienem meldować mu przy wstawianiu rano — teraz zaś już nie do jedzenia dostać nie można. Zu-

pa też już rozdana, więźniowie ją zjedli i śpią. To powiedziawszy, zamknął za sobą drzwi. Długą chwilę trwało, zanim pozamykał wszystkie zamki, kłódki, zatrzaski przy moich drzwiach. Czulem się zupełnie jakby zamknięty w żelaznej kasie ogniotrwalej.

Sen nie zmrzył moich powiek, bo odemnie nie odstępowała przez całą noc posępna mara, ukazująca mi cały szereg nieznanych niebezpieczeństw.

Żebym przynajmniej wiedział za co mnie areztowali! Ale list gończy—co to ma znaczyć? Przypominam sobie idyotyczną bajkę, którą kolportowały gazety niemieckie w lecie, że pisują artykuły niaby z polecenia hr. Gołuchowskiego, aby — osłabić trójprzymierze. A czyż ja wiem — może oni takim bredniom wierzą? Trójprzymierza nie kocham, to prawda, ale nie miałem zaszczytu nawet z daleka widzieć hr. Gołuchowskiego.

Przypominam sobie, że radca policyjny, który był obecny przy spisywaniu protokołu ze mną, oświadczył wyraźnie, że w śmieciach hotelowych odnalazł resztki jakichś listów. Nie powiedział wprawdzie, czy to były plany nowego jakiego alian-su politycznego, mającego zastąpić trójprzymierze, czy też rachunki hotelowe, ale sam fakt, że szukano w śmieciach, dał mi poznać, że w tych mózgach kiełkować musi jakaś dziwaczna myśl, a ja paść mogę ofiarą tych dziwactw i parę miesięcy siedzieć w śledztwie.

Tak przeszła część nocy. Za ledwie szarzyć poczęło i za ledwie moje okienko przepuszczać poczęło tyle światła, że można było rozróżnić kontury

pojedynczych przedmiotów w celce, odezwał się głośny, drażniący ucho, przeciągły głos dzwonka więziennego. W sąsiednich celach zrobił się ruch, po całym gmachu rozchodził się szum i szmer, jak w ulu. Wstałem więc, umyłem się i spojrzałem w okno: do wschodu słońca było jeszcze daleko — jeszcze ani śladu słonecznego promienia nie było widać.

Była piąta i pół rano.

Po chwili otworzył drzwi dozorca, szybkim spojrzeniem obrzucił całą celę.

Przejęty wynikiem z 36-godzinnego absolutnego postu osłabieniem, usiadłem na łóżku. Dozorca rzekł surowo: „W ciągu dnia ani kłaść się, ani siałeć na łóżku nie wolno”.

— Nie wolno! — Ha, iluż to nowych rzeczy człowiek się dowiaduje! Nie wolno siedzieć na łóżku, na którym masz spać!

Pół godziny później rozdano supę na śniadanie. Zamileczeń o niej wolę. Był to rozgotowany chleb razowy w wodzie.

Cele (wszystkie są jednakowe), mają dwa kroki szerokości, a pięć długości. Umeblowanie ich stanowią po lewej stronie od wejścia: kubeł z pokrywą żelazną, żelazne maleńkie i wąskie łódeczko; półka drewniana, na której się mieszczą u góry: miednica, kubek do wody i dzbanek z wodą, w przegrodzie górnej solniczka, łyżka i szczotka, w przegrodzie dolnej miska do jadła. U dołu zaś na gwoździu wisi ręcznik, szufelka do śmieci i zamiataczka.

Wprost drzwi okno, zakratowane sześciu żelaznemi sztabami, po prawej zaś stronie tej kajuty,

najbliżej okna, stół bez poręczy; dalej stolik, a wreszcie przy drzwiach maleńki kaloryfer, ogrzewający izdebkę.

Ściany białe, pociągnięte wapnem; najlżejsze dotknięcie się ściany pozostawia ślady na ścianie i na ubraniu. „Meble” stoją w odległości 10 cali od ściany, przestawiać ich zaś nie wolno. Drzwi, zajmujące połowę szerokości izdebki, są z żelaza, pokryte grubym, stalowym pancierzem. Zamykają się automatycznie na zatrzask, przylegają zaś tak szczelnie do futryn, że w korytarzu nie słychać najmniejszego szmeru, choćby więzień krzyczał, płakał, pukał. Dźwięk zato udziela się za pośrednictwem ścian pomiędzy celami, bardzo cienkich i łatwo przepuszczających głos ludzki.

Okolo godziny 12 w południe, więźniowie dostają zupełny t. j. obiad. Zupa ta różni się od porannej tylko tem, że jest gęstsza. Zjadłem parę łyżek i zapytałem dozorcę o mleko, które mi przepisał lekarz rano. Dozorca odrzekł, że to musi przejść zwykłą drogę przez kilka instancyi i „zapewne pojutrze” mleko otrzymam. To samo i z pożywieniem na koszt własny.

Byłem nad wszelki wyraz przybity tem oświadczeniem. Chwilami opanowywała mnie wprost rozpacz; raczej jakieś podejrzenie, że ci wszyscy ludzie mają wobec mnie tajemną instrukcyę, aby mnie zagłodzić, zniszczyć fizycznie i moralnie. Po celce nawet chodzić nie było można dla braku miejsca. Od ciągłego siedzenia bolały mnie krzyże. Położyć się na łóżku—nie wolno.

Wtem usłyszałem wyraźne, miarowe pukanie do mojej ściany z prawej strony. Zbliżyłem się do miejsca, skąd pochodziło pukanie i zastanawiam się, czego chcieć odemnie może mój sąsiad. On znowu puka — z przestankami — raz, dwa, trzy. To się powtarza kilkakrotnie. Wreszcie zniecierpliwiony tem, że nie mogę się domyśleć, na chybił trafił kilkakrotnie i ja też pukam, mniej więcej tak, jak osoby, nie umiejące telegrafować pukają na aparacie, starając się zachować rozmaitość w uderzeniach. Dopiero, przyłożywszy ucho do ściany, wyraźnie różniam słowa: „Coś pan za jeden?“

Takie pytanie trochę mnie zirytowało. Przecież jakiemuś tam oszustowi nie będę tłumaczył, że jestem polskim publicystą, którego rząd pruski więzi za to, że jest współpracownikiem wrogiego Prusom pisma. Aby więc dać wyraz mej niechęci, odpowiadam memu sąsiadowi: *Bin ein verkrachter Bankdirektor*. Myślę sobie — niech tam Niemiec napoi się antypatyą przeciw pruskiej gospodarce finansowej.

A on mi się w odpowiedzi na to przedstawił, jako czternastoletni chłopak z domu poprawczego; opowiadać mi począł masę interesujących rzeczy, o wszystkim wiedział, na wszystko miał odpowiedź—więc mu potem rzetelnie opowiedziałem moje losy. Pocieszał mnie, jak mógł, zapoznał mnie z całym „towarzystwem” z dołu, z lewej strony, z prawej strony i z przeciwka. Rozmawialiśmy nieraz całemi godzinami.

Na trzeci dzień zawezwano mnie do sędziego śledczego. Akta z Poznania nadeszły. Sędzia mi

oświadczył, że za mną były wysłane trzy listy gończe i to w sprawie artykułów, ogłoszonych w Poznaniu.

Odpowiedziałem na to, że nie pojmuję logiki tych panów w Poznaniu. Gdym mieszkał w Poznaniu i mogli mieć mnie każdego dnia — wtedy mnie właśnie wydalili z granic państwa, a po wydaleniu przymusowem chcą mnie znowu złapać.

— Co do artykułów—rzekł sędzia—to są artykuły „Vestera“. Czy pan jest autorem?

— Nie—odpowiedziałem—i proszę o dowody.— Na tem się pierwsze przesłuchy u sędziego śledczego skończyły.

Powróciłem do celi więziennej.

Godziny upływały z niesłychaną powolnością. Żadnych książek, żadnych listów, żadnych gazet.

Mojem wielkiem zmartwieniem była kwestya jedzenia. Pokazało się bowiem, że pieniądze, które kazałem sobie nadesłać do Wrocławia, nie zostały wręczone, lecz odeszły z powrotem. „Więzienie nie przyjmuje przesyłek pieniężnych“.

Postawiłem więc wniosek, aby mi wolno było tymczasowo rozporządzać pieniędzmi, które mi odebrano z portmonetką. Sędzia się zgodził — przeszło parę dni, aż wreszcie się pokazało, że pieniądze te odeszły z moimi papierami do Poznania. Dzień za dniem przechodził, ja jadłem wciąż z więziennego kotła. Wreszcie mi powiedziano, że pieniądze mają być wprost nadesłane do jakiejś „Frau Schlitt, Freiburgerstrasse 154“, która dostarcza prywatnego pożywienia. I znowu przeszły dwa dni.

Dnia 20 października, w pięć dni po mojem uwięzieniu, zawiadomił mnie dozorca, że „Frau Schlitt“, która dostarcza więźniom prywatnego pożywienia, otrzymała telegraficznie dla mnie pieniądze z Poznania; tymczasem, stwierdzam to publicznie, nie dostarczono mi ani jednego obiadu, a pieniądze nadesłane do owej osoby, upoważnionej przez władzę więzienną, przepadły bezpowrotnie. Do dnia dzisiejszego nie wiem w czyjej utonęły kieszeni.

Rzecz doprawdy zastanawiająca, jak szybko człowiek, znajdując się w więzieniu, wchodzi w stosunki ścisłego, że tak się wyrażę — koleżeństwa ze wszystkimi współwięźniami bez względu na ich przewinienia, zbrodnie, pozycję towarzyską, wykształcenie i t. d. Wszyscy bez względu na różnicę przestępstw i winę, czują się niejako sprzymierzeńcami w cichej walce przeciwko dyrekcji więziennej, prokuratorowi, sędziemu śledczemu, jednym słowem przeciw całemu porządkowi społecznemu, którego te instancje są wyrazem. Całe to więzienne społeczeństwo jest ożywione jedną tylko myślą: jakby tu unicestwić, sparaliżować wszelkie zamiary tego drugiego, wolnego społeczeństwa.

Oto małeńki przykład: pewnej nocy, a raczej wieczoru, po zgaszeniu światła, słyszę z lewej strony pukanie, zbliżam się więc do ściany i daję znak pukaniem, że słucham i nadstawiam bacznie ucha. Mój sąsiad mówi: Czy pan już powiadomił swoich świadków o tem, co pan zeznawał u sędziego śledczego?

Odpowiadam, że nie, bo i jakżeż ja biedny zamknięty w czterech ścianach, mogę dać wiadomość inaczej jak przez ręce tegoż sędziego? „Moi świadkowie” — dodaję — „nawet nie wiedzą, o co jestem oskarżony“.

„To niech sobie pan obmyśli wiadomość w krótkich słowach, a jutro już będą ją mieli ludzie, których adresy pan wskaże”.

„Jakto?” zapytuję ze zdumieniem.

„Właśnie dopiero co zawiadamiają mnie koledzy z dołu, że jeden z więźniów karnych z parteru jutro zostanie wypuszczony na wolność, więc może załatwić interesy będących w śledztwie kolegów”.

Podziękowałem za dobre chęci, bo informowanie przyjaciół w Poznaniu było zbyteczne. Przez ile rąk i to jakich rąk, zwrócone ku mnie pytanie przejść jednak musiało, zanim z parteru, z oddziału więźniów karnych, przeszło na drugą stronę olbrzymiego gmachu więziennego do mojej celi na trzecie piętro?

Zastanawiająca solidarność!

— — — — —

Gdym 21-go jadł ze wstrętem zupełną obiadową, byłem pewny, że następny dzień już rozpocznie zmianę tych niemożliwych stosunków pożywnym, dobrym obiadem. Ta myśl mi dodawała — powiedziałbym, dobrego humoru. Również i pośpiech, z jakim się toczyło moje śledztwo, dodawał mi otuchy, że niebawem nastąpi jakaś zmiana.

Więzień bowiem, o ile z pobudek rozumowych rzekł się chwilowo nadziei odzyskania zupełnej

wolności, pragnie tylko jednego: zmiany w swem położeniu.

I to oczekiwanie mnie nie zawiodło. Gdy na noc zaczęto zamykać wszystkie cele, dozorca mój rzekł do mnie:

„Lampy niech pan nie gasi. Ktoś tu jeszcze ma przyjść do pana”.

Byłem niesłychanie zaciekawiony i rozgorączkowany tą zapowiedzią. W pół godziny potem zjawił się w mej celi starszy dozorca, kazał mi zabrać ze sobą „wszystkie” moje rzeczy, t. j. kapelusz i poprowadził na dół, na pytanie nie dając odpowiedzi. Przyszliśmy do składu rzeczy, odebranych więźniom; tu z worka, noszącego mój numer, wyjął moje palto, parasol, kalosze i kazał się podpisać, że wszystkie rzeczy mi wydano. Serce mi żywiej zabiło.

„Czy jestem wolny? Czy puszczono mnie za kaucyą?”

„Nie wiem”—odrzekł starszy dozorca.

Poszliśmy do inspektora więziennego. Przez drogę robiłem jak najlepszą minę, aby się z tymi panami pożegnać. U inspektora zastałem jeszcze jakiegoś pana w cywilnem ubraniu. Pytając spoglądam na obu, zaczynając się już domyślać, o co chodzi.

„Panie doktorze”, zaczyna pan w cywilnem ubraniu, „jestem wydelegowany tu z Poznania w celu przewiezienia pana do tamtejszego więzienia”.

Skinąłem głową.

„Jestem odpowiedzialny za pana. Spodziewam się, że w ciągu podróży nie zechce pan skorzystać

ze sposobności... Właściwie powinienbym skrepować pana“.

Mówiąc to, zadzwonił kajdankami, które trzymał w kieszeni.

Nie dając nic po sobie poznać, słuchałem obojętnie dalej.

...„Ale sądzę, że to jest zbyteczne“.

Wzruszyłem ramionami.

Wyszliśmy. Na dziedzińcu stał już kryty powóz, a w nim siedział jeszcze jeden komisarz poznański. Zatrzaśnięto drzwiczki i pojechaliśmy.

Dorożkarz już miał instrukcye i po chwili byliśmy na dworcu. Moi towarzysze zaprowadzili mnie do odwachu policyjnego i uprzejmie zapytali, czy nie mam jakich życzeń. Kazałem sobie przynieść szklankę bulionu i kieliszek koniaku. Niemal z przyjemnością myślałem o podróży, zmianie więziennego gmachu i t. d.

Wsiedliśmy do osobnego przedziału, który konduktor zamknął swym specjalnym kluczem, tak, że żaden z nas nie mógł otworzyć drzwi. Moi towarzysze kupili mi gazetę jakąś, naturalnie niemiecką, i tak dojechaliśmy do Poznania.

O dwunastej przyjechaliśmy do Poznania. Zaledwie w oknie naszego przedziału ukazał się jeden z komisarzy, aliści ze wszystkich punktów dworca zbiegło się przed mój wagon co najmniej dziesięciu policyantów rozmaitej szarży, wszyscy po cywilnemu. Zrobili rodzaj szpaleru, gdym wychodził, a każdy mi musiał z obowiązku zajrzeć w oczy. Zapytałem mego towarzysza, co ta komedia znaczy. Od-

powiedział, że policya się obawia, aby mnie pan Biedermann z ich rąk nie odbił.

Wsiedliśmy do trzech dorożek. Dorożka pierwsza jechała dziesięć metrów naprzód, sondując widocznie drogę, ja z moim sztabem jechałem w drugiej, trzecia z pięciu agentami zamykała ten pochód. Stanęliśmy wreszcie przed bramą więzienia poznańskiego.

Pierwszą noc w Poznaniu przespałem dobrze i smacznie. Czułem się już poniekąd między swymi. Poznańskie więzienia mają już swe tradycje.

Zauważyłem u wszystkich urzędników więziennych uprzedzającą grzeczność. Tu już mnie znali wszyscy z gazet, a że pisma niemieckie zrobiły ze mnie niemal głowę całego antyniemieckiego ruchu w Poznańskim, na Górnym Ślązku i w Westfalii, więc to przesadne mniemanie o moich wpływach i znaczeniu politycznem ujawniło się odrazu we wszystkich bagatelach codziennego życia. O sprzątaniu celi nie było już mowy—załatwiać to za mnie począł jakiś sąsiad, posądzony o kradzież kozy. Dano mi największą celę w całym więzieniu, suchą, widną, z wielkim oknem z sześciu matowemi szybami. Wprawdzie jeszcze trzy dni jeść musiałem więzienną stratwę (zatem ogółem dziesięć dni nie miałem w ustach porządnego jedzenia lub kawałka mięsa), ale aż do chwili, dopóki nie nadeszły inne pieniądze na jedzenie z restauracyi, dawano zupeł z lazaretu, pożywną, a lekko strawną, a do tego półtora litra mleka na dzień.

Wszystkie przedmioty w celi (cela nosi Nr. 206) dano mi zupełnie nowe, począwszy od miednicy,

a skończywszy na materacu. Zresztą pozwolono mi sprowadzić własną pościel, otrzymywałem dobre jedzenie z restauracyi, a nawet butelkę węgryna co tydzień, dla wzmocnienia sił.

W Poznaniu czytałem w niemieckich gazetach, w więzieniu, że u mego wydawcy zrobiono znowu kolosalną rewizję i że dwa kosze rozmaitych listów i t. d. zabrano; ogromnie mnie to ubawiło, bowiem te papiery wszystkie już ze cztery razy były w rewizyi. Od pół roku, t. j. od czasu ostatnich rewizyi, całe stosy pakietów, ponumerowanych przez sąd, czy policję, leżały na środku pokoju w redakcyi. Podczas rewizyi wszystko to na wiosnę było tak przewracane i przemieszane, że wydawca nie miał odwagi i czasu zabrać się do uporządkowania: tak więc wszystko leżało, jak wróciło w marcu z rewizyi. Obecnie ci panowie znowu się zabrali do tej syzyfowej pracy odczytywania setek listów od abonentów, z których jedni proszą o przysłanie brakujących numerów, inni wymyślają na Hakatę, inni komunikują, ilu znaleźli nowych abonentów. Ale ci panowie w policyi dla odświeżenia swych wrażeń przynajmniej dwa razy w roku muszą sobie to wszystko na nowo przeczytać. Widocznie i teraz ich taki paroksyzm opanował.

Najwięcej cierpię nad tem, że oderwano mnie od pracy nad badaniem terenu przyszłych wyborów na Górnym Ślązku. Zrosłem się z myślą, że celem mej pracy publicystycznej w ciągu przyszłych dwóch lat będzie wywołanie przełomu na Górnym Ślązku i doprowadzenie do wybierania posłów polskich pod programem polskim, a nie centrowym. Popchnię-

ty w tym kierunku nasz tygodnik już do dużych pozytywnych doszedł rezultatów.

Do idei tej fanatycznie się przywiązałem i cierpię niewymownie, że mnie oderwano i zamknięto w odosobnieniu. Plaster kojący te moralne cierpienia znalazł się jednak i tu, w więzieniu: a to w postaci wiadomości od naszego mistrza Sienkiewicza, że pozwala drukować w naszym tygodniku w Poznaniu swą przyszłą epopeję: „Na polu chwały“. Był to pierwszy list, jaki wogóle otrzymałem w więzieniu. Jakąż on mi sprawił radość i jak wdzięcznym się czulem Sienkiewiczowi!

Nie mniejszą wcale przyjemność sprawił mi numer naszego tygodnika, który mi nadesłano do więzienia. Na czele umieścił p. Wojciech Korfanty¹⁾ odezwę, że zajmuje opróżnione po mnie miejsce i prosi, aby Górnoślązacy takim go darzyli zaufaniem, jakie mieli do mnie.

¹⁾ Dzisiejszy poseł—pierwszy Polak wybrany na Górnym Ślązku.

Proces mój odbył się dnia 5 i 6 grudnia 1901 r. Zarzucono mi, że jestem autorem paru artykułów, które dawniej zakończyły się procesem. — Prokurator wniósł o dwa lata więzienia i 3 tygodnie aresztu za przekroczenie granicy pruskiej.

Początek grudnia 1901.

W odpowiedzi na wniosek prokuratora rzekłem: „Przed paru tygodniami odbywał się proces słynnego anarchisty Mosta. Za artykuł, pochwalający zamordowanie prezydenta Mc. Kinleya i wzywający do dalszych tego rodzaju zbrodni, zasądzono Mosta na jeden rok więzienia. Widzę, że w państwie pruskim lepiej być anarchistą i wzywać do zamordowania monarchów, niż wpaść w podejrzenie, że się jest autorem artykułów, wyrażających usposobienie ludności polskiej wobec pruskiej“.

Wyrok opiewał podług wniosku prokuratora — na dwa lata więzienia. Pierwszą moją myślą po wysłuchaniu wyroku było, że więcej nie będę wywie-

rał wpływu na przyszłe wybory, bo te się mają odbyć w jesieni 1903, na krótki czas przed mojem uwolnieniem z więzienia. Gdy z sali obrad wyszli sędziowie w celu odczytania wyroku, bacznie spojrzałem na każdego z nich, a biorąc za rękę mego towarzysza niedoli, powiedziałem: „Niosą okropnie ostry wyrok — żaden z nich nie śmiał spojrzeć na mnie“. Istotnie, każdy spuszczał oczy, gdy wypadkowo miał zwrócić spojrzenie ku mnie.

Przy słowach „dwa lata“ mój towarzysz zawołał mimowolnie „Jezus Marya!“ — a w całej sali rozszedł się szmer przerażenia. — — —

Krytym krążankiem wyprowadzono skazańca napowrót do więzienia. — — —

Gdym po wyroku znalazł się znowu w samotności między czterema ścianami celi więziennej, czułem, że się ze mną zaczyna dziać coś straszego. Miałem wrażenie, jak gdybym był spadł z jakiejś wysokości w przepaść, a cała siła pędu spadania gromadziła mi się pod czaszką, tłocząc mózg, napełniając uszy szumem, a oczy nieruchomą bezwładnością...

Przez trzy dni jeść wcale nie mogłem, trzy noce nie spałem; leżałem na posłaniu z nieruchomo otwartymi oczami.

Staralem się zasnąć; błagałem siebie samego o sen, jak o jedyną osłodę, lecz zasnąć nie mogłem, bo wciąż, nieustannie, bez przerwy odzywały się we mnie jakimś okropnem pogrzebowem echem słowa: Dwa lata! Dwa lata!

Zegary na ratuszu i na wieżach kościołów jeden za drugim wydzwaniały kwadranse, godziny,

a ja w odrętwieniu i bezwładności leżałem, wciąż z otwartymi oczyma, oddalając od siebie myśl o rodzinie, o dzieciach, o rozpoczętych pracach, zdrowiu, przyszłości, śmierci. Aż świt nadszedł, potem dzień minął, potem, potem znowu noc, ze straszną, ohydłą swą cichą ciemnością..!

Wiem teraz, co czują ludzie, którym wróciła świadomość, gdy zostali w letargu pochowani!

Trzeciego dnia dał mi lekarz usypiające proszki. Wziąłem je z przymusem, bom się obawiał, że przy dalszej bezsenności zwaryuję, ale równocześnie z obawą, czy się znowu obudzę. I zastanawiałem się, czym w swem krótkim życiu zrobił co takiego, aby mi to zjednało trwałą zasługę u społeczeństwa?— Nie! nie niema wartości trwałej, wszystko, co ma być trwałe, spoczywa jeszcze w mej głowie, jeszcze się nie przyobiekło w formę słowa,—wszystko leży w przyszłości, oddzielonej odemnie tą straszną ścianą z więzienną kratą...

Że chciałem być czemś, że chciałem czegoś dokonać — oto kwintesencya mego przerwane go życia. Brakło mi czasu, dzień mi był zawsze za krótki, a teraz? Och te kwadranse, z żółwią powolnością wlokące się z wieczności w wieczność: jakże ja was nienawidzę!

Ciesz się, tryumfuj, potęgo pruska!

W końcu grudnia 1901.

Na parę dni przed Bożem Narodzeniem obudzo no mnie nagle około czwartej rano. „Niech się pan

ubiera i przygotowuje do drogi swe pakunki“ — rzekł mi dozorca.

A więc mnie wywożą z Poznania! Rzecz dziwna, nie chciano mi powiedzieć, dokąd mnie wiozą! Dopiero w wagonie, i to przypadkiem, przez nieostrożne słówko konduktora, stemplującego bilety, dowiedziałem się, że jadę do Wronek, do tamtejszego centralnego więzienia.

Nie umiem sobie inaczej objaśnić tej tajemniczości, jak tylko obawą policyi, abym nie uciekł w drodze. Dwaj komisarze odstawili mnie do więzienia, mającego rozmiary małej fortecy, z dziedzińcami wewnątrz, z szeregiem rozmaitych budynków, wysokimi murami otoczonych.

Furtyan oddał mnie w ręce jakiegoś pacholka, który mnie zaprowadził do obszernej sali, z ubraniami więźniów. Tam, nie pytając się mnie na razie ani o nazwisko, ani o charakter „przestępstwa“, w jednej chwili rozebrano mnie zupełnie do naga, tak, że pomimo prośb i protestacyi, nawet wełnianą cienką koszulę odebrano, — następnie mnie zważono, moje rzeczy w mguieniu oka schowano do worka, oznaczonego osobnym numerem, a mnie, dygocącego z zimna, które się wciskało przez otwierane co moment drzwi ze dworu, ubrano w płócienną grubą koszulę, jakiś krótki kaftanik i cienkie dreliszkowe ubranie niebieskiego koloru.

Potem nastąpiło spisanie protokołu w sekretaryacie dyrekcji więziennej.

Przy spisaniu protokołu miałem powiedzieć, za co mnie ukarano. Odpowiadam: „za rzekome autorstwo artykułów“. Urzędnik (nazywa się Pigulla)

oburza się na to „rzekome“ i powiada: „Skoro sąd pana skazał, to pan je pisał“. — „Nie pisałem“. — Wtedy on powiada: „Pan musisz tu powiedzieć prawdę, bo inaczej czeka pana kara aresztu w ciemnej celi o chlebie i wodzie“. Odpowiedziałem, że znam tylko jedną prawdę, a tę powiedziałem przed sądem. To było przy dwóch świadkach 21 grudnia 1901.

Ten sam inspektor policyjny przy spisywaniu protokołu w sposób nader szorstki mnie zaczął, żem do protokołu mu podał swój tytuł doktorski. Nawet więc moją przeszłość chcieliby mi odebrać!

Gdym się znalazł w celi po tych przesłuchach, odetchnąłem, myśląc, że teraz już mi przynajmniej nic nie odbiorą, bo nic nie mam, z czem bym się mógł rozstać.

Lecz myliłem się bardzo: bo oto w parę chwil potem ostrzyżono mnie tak, że zostałem kompletnie łysy; nie darowano i mojej brodzie; i ją zmasakrowały nożyce więzienne.

Ani o smutku, ani o bólu, ani o złości we mnie nie było wtedy mowy: górującem wrażeniem było ogromne, nieopisane zdumienie i bierność, posunięta aż do zupełnego pozbycia się indywidualności w ocenie wydarzeń—aż do zupełnego zobiektywizowania odbieranych wrażeń — aż do odrętwienia.

Po załatwieniu pierwszych formalności zaczęło się dla mnie regularne życie więzienne.

We Wronkach jest około pół tysiąca więźniów, z których każdy jest tylko numerem—bo jednako-wo jest ostrzyżony, ogolony, umyty i ubrany, jada

z innymi jedno i to samo o tej samej porze, a o kwadrans przed szóstą wstaje, myje się i ubiera. O siódmej następuje śniadanie: około pół litra zielonkowato-czarnej wodnistej lury, która się tu nazywa kawą. Do tego dwa kawały kleistego chleba razowego. Tę poranną kawę nazawsze będę pamiętał. Gdy jej pierwszy raz spróbował, mimo woli pomyślałem ze zdumieniem: „z czego oni też robią tę kawę?”—Miała bowiem oryginalny zapach ścierek kuchennych.

(Znacznie później się dowiedziałem, że zapach i smak wody wygotowanej ze ścierek, właściwy tej kawie, pochodził z worków od saletry. Tych starych worów od saletry używają w kuchni więziennej do precedzania kawy, a później do okrywania parujących kotłów z kawą. Szczegół ten o worach od saletry podał mi Kazimierz Nowak z Łabiszy na o którym obszerniej się rozpisuję w dalszym ciągu).

Po śniadaniu rozpoczyna się praca. Mnie zasadzono do maszyny pończoszniczej. Każdy więzień najmniej 10 godzin na dzień musi pracować. Gdym przerywał robotę, zaraz się zjawiał dozorca ze strofowaniem. Tydzień trwała nauka—zacząłem już wyrabiać niezgorsze pończochy.

Czułem się bardzo chory—jedzenia nie mogłem wcale znosić. Obiad składał się z pełnej warzą-jakiej zupy np. grochowej, soczewicowej, itd. z rozgotowanymi kartoflami i okrasą loju. Dają tego obficie, ale ja zaledwie po kilka łyżek eść mogłem. Nie przeczę jednak, że dla przecięt-nego więźnia o niewybrednym smaku i żołądku, po-

żywienie to nie tylko jest wystarczające, ale nawet i smaczne.

Kilkakrotne rozmowy z więźniami, prowadzone w późniejszym czasie, przekonały mnie, że wśród więźniów-bywalców jedzenie we Wronkach uchodzi za najlepsze, za znacznie lepsze od poznańskiego; za najgorsze zaś uchodzi jedzenie we wrocławskim i gnieźnieńskim więzieniu.

Po obiedzie następuje godzina pauzy (od 12 tej do 1-szej). O wpół do trzeciej dozorecy prowadzą więźniów na spacer. Trwa on 15—30 minut. Zimno, czy ciepło, słońce czy pogoda, wiatr czy deszcz — zawsze w dreliszkowym cienkim ubraniu, bez żadnego palta, chodzę tak z pustym żołądkiem, dzwoniąc zębami i przeklinając cywilizację i higienę XX stulecia.

O wpół do siódmej wieczorem więźniowie otrzymują kolację. Składa się ona znowu z zupy gorącej i chleba razowego. Jedynie we środy, dla odmiany, śledź z kartoflami. Mięsa więźniowie nie widują w ciągu tygodnia wcale, jedynie w niedzielę otrzymują do zupy obiadowej zimny kawałek gotowanej wołowiny lub wieprzowiny.

O godzinie siódmej wieczorem daje dozorca dzwonem znak do zgaszenia lamp i zamykania cel na noc. Od siódmej więźniowie mogą się kłaść do łóżek.

Książek do czytania udziela zarząd więzienny tylko na niedzielę i poniedziałek. — — —

Mój stan psychiczny jest okropny. Dwa lata

takiego życia—włosy powstają na głowie na samą myśl o tem, a pierś tehu złapać nie może. — —

26 grudnia 1901.

Wigilia Bożego Narodzenia 1901 będzie należeć pewnie do najsmutniejszych chwil mego życia. Około 6 tej nad wieczorem wywołano więźniów z celi; każdy stanął przede drzwiami swojej celi, twarzą zwrócony do wewnętrznego centralnego punktu całego budynku, gdzie się krzyżują cztery skrzydła gmachu. Każde skrzydło liczy cztery piętra i tyleż długich korytarzy — szesnaście więc szeregów, po czterdziestu więźniów w każdym szeregu, spoglądało ku stacyi centralnej, gdzie stała olbrzymia choinka, lśniąca setką świec zapalonych. A pod nią stał proboszcz więzienny i mówił o rodzinie opuszczonej, o wolności...

Są chwile bólu i goryczy, w których wszystkie oznaki nawet życzliwości ze strony współbliźnich jątrzą i drażnią; człowiek, jak raniona ryba, co chce się ukryć w najgłębsze, najciemniejsze nury, radby w samotności pozwolić na zasklepienie się zadanej rany, pozwolić czasowi na utworzenie skorupy — a każde przypomnienie tego, co było, gryzie, jątrzy, pali, rozrywa, szarpie.

Ta choinka w więzieniu! Wydała mi się ona szatańskim pomysłem i wyrafinowaną męczarnią! Widziałem łzy w oczach wytrawnych, zahartowanych złoczyńców, ale to nie były łzy pokory, żalu i smutku: to były łzy bezsilnej wściekłości.

30 grudnia 1901.

Pojawił się jasny promień na ponurem tle mego więziennego życia. Znalazłem tu przyjaciela, o którym nie wiedziałem. Jest to dozorca Molik, Polak ¹⁾.

W drugie Święto Bożego Narodzenia pełnił służbę w tym oddziale, gdzie mnie trzymano. Popołudniu, upatrzawszy stosowną chwilę, wszedł do mnie i zawiązał rozmowę, zrazu po niemiecku. Skoro się przekonał, że omyłka co do mej osoby nie jest możliwa, nagle rzekł: „Jestem Polakiem, panie doktorze. Gdybym mógł być w czem panu pomocny, proszę na mnie liczyć“.

Nie znając go bliżej, rozmawiałem z nim o rzeczach obojętnych i zaznaczyłem w toku rozmowy, że nie posiadam żadnego majątku, chcąc mu w ten sposób dać poznać, że na mnie interesów nie robi, jeśli w celach zysku szukał znajomości ze mną.

Lecz on nie zmienił bynajmniej swego tonu życzliwego, dał mi kilka pożytecznych wskazówek i oświadczył gotowość zaopatrywania mnie tajemnie w mięso.

Dostając zaledwie raz w tygodniu kawałek mięsa, naturalnie taką ofertę byłbym przyjął z największą radością. Ale pomimo to podziękowałem mu. Więcej wartości dla mnie, niż największe zapasy mięsa, przedstawiał sam fakt, że oto w mo-

¹⁾ Ustęp poniższy został napisany już po wyjściu z więzienia. Stosunki moje z Molikiem wykryto, nie popelniam więc niedyskrecyi w opisie poniższym.

jem tak przykrem, tak nieszczęsnem położeniu, znalazł człowieka, który się gotów narażać, aby mi tylko przyjść z pomocą. —

Ten fakt koi i łagodzi ciężar bólu w mem sercu...

Początek stycznia 1902.

Pewnej nocy przebudziły mnie ze snu nieludzkie krzyki i jęki. „O Jezu, o Jezu!“ tak wołał jakiś głos przeraźliwy. Słychać było jakieś głucho uderzenia, płacz, i znowu krzyki. Potem znowu: „O Jezu, o Jezu!“—I trwało to aż do samego rana. Nie było pewnie ani jednej celi, w którejby więzień nie drżał, tak jak bydłę, prowadzone do rzeźni, drży, słysząc ostatnie jęki zabijanej poprzedniej ofiary.

Nazajutrz dowiedziałem się prawdy: że biedaczysko jakiś zwaryował.

Zwaryował! Ten sam miecz Damoklesa, który spadł na jego biedną głowę, wisi tu zapewne nad niejedną głową...

Cierpienie ogarnia tu wszystkich—zarówno brutalnych łotrów o niskiem czole, nieforemnej czaszce, odstających uszach i skośnych oczach — jak i spokojnych ludzi, którym łagodność i smutek z oczu patrzy... Jedyne formy tego cierpienia są rozmaite.

Początek stycznia 1902.

Parę dni temu nadeszło z Poznania od nadprokuratoryi pozwolenie, że mogę się zajmować

pracą naukową. Zostałem więc zwolniony z obowiązkowej pracy więziennej i mogłem kazać sobie przysłać książki. Płacę 1 m. 50 fen. dziennie do kasy więzienia za to, że wolno mi pracować dla siebie, zamiast robić pończochy na rachunek więzienia.

Mój stan psychiczny zaczął się odrazu polepszać, od pierwszej chwili, gdy dostałem do ręki książkę, papier, atrament i pióro. Rozgorączkowanie nerwowe, w którym żyłem od chwili skazania, jakby w obłędzie, zaczyna ustępować. Zaczynam być znowu sobą. Zaczynam czuć, że w postaci papieru i pióra mam w ręku sposób zniweczenia skutków wyroku.

Nie, te lata nie będą wykreślone z mego życia! Zapelnię je bowiem pracą umysłową!

Książka zaczyna wywierać swą magiczną siłę. Czuję się silnym.

Zaczynam się przyglądać mojemu otoczeniu i spostrzegam na tle monotoności więziennego życia bardzo wiele różności. Ze strony współwięźniów-Polaków doznaję ciągle dowodów życzliwości i współczucia. Ale rozmawiać nam ze sobą wolno tylko spojrzeniami.

Luty 1902.

Tydzień po tygodniu mija mi dość szybko, bo bardzo dużo pracuję. Czerpię w pracy umysłowej siłę i odporność do niepoddawania się zgubnym dla organizmu fizycznego wpływom warunków mego ży-

cia. Używam pracy jako narkotyku, aby myślom nie dać się zwracać do rozważania mego straszego położenia. Około 10 godzin dziennie zajmuję sobie pisaniem, czytaniem i przepisywaniem. Wręcz nie pojmuję, jak ja przeżyłem te tygodnie poprzednie przy maszynie pończoszniczej—i to z perspektywą siedzenia przy niej dwa lata. Dziś, gdyby mi odjęto możność pracowania piórem, zdaje mi się, że chybabym zwaryował. Człowiek jest silniejszy, niż sam przypuszcza.

Jednakowoż nie czuję się wcale zdolny do pracy twórczej. Myśli moje są wciąż jeszcze ubezwładnione, odrętwiałe, zahypnotyzowane strasznym słowem: dwa lata! Więc ograniczam swą pracę do czytania i robienia wyciągów i notat. Ale zaczynam już snuć plany na przyszłość: oznaka powrotu do zdrowia. Przedtem nie byłem w stanie myśleć o tem, co leży przedemną w przyszłości, bo ta przyszłość była mi straszna. Mam plan pracy na te dwa lata bardzo rozległy. Ani jeden dzień spędzony tutaj w murach więziennych nie powinien być dla mnie zmarnowany.

Samotność działa nawet na natury silne (a uważam siebie za taką), w kierunku, rzekłbym, mistycznym. Umysł mimowoli „dorabia“ sobie ów świat zewnętrzny, ludzi i wypadki, z poza kraty więziennej, a porą najwyższego obcowania z tym światem, od którego więźnia odcięto, jest sen. Dlatego też sen odgrywa w życiu więziennym daleko ważniejszą rolę, niż w życiu swobodnym. Jestem przez cały dzień wesół, zadowolony, jeśli się we śnie widział z przyjaciółmi, z rodziną, jeśli rozmaite

sprawy z nimi załatwił. Jestem chmurny i rozgoryczony, jeśli we śnie spotkała mnie przykrość od świata zewnętrznego, do którego teraz tylko „teoretycznie“ należę. Życie na jawie jest mi snem, sen — rzeczywistością.

20 luty 1902.

Jestem pod świeżem wrażeniem wiadomości, że po skazaniu mojem zebrano drogą publicznych składek z inicjatywy pism fundusz dla zabezpieczenia bytu mojej rodziny przez czas mej niewoli. Wiadomość ta do głębi wstrząsnęła moją duszą. Tak po poległym Spartaninie ze skarbu publicznego łożono na utrzymanie rodziny osieroconej. A czemuż ja sobie zasłużył na podobny zaszczyt?

Nakłada to tem większe obowiązki na mnie w przyszłości, im mniej moją działalnością ubiegłą zasłużyłem na taki dowód uznania.

Ale podniesiony, pokrzepiony na duchu czuję się niezmiernie.

Koniec lutego 1902.

Cud będzie, jeżeli nie wpadnę w jaką poważną chorobę. Czując się chorym, poszedłem do lekarza. Lekarz ordynuje w budynku lazaretowym, tam więc prowadzą więźniów w celu zbadania. Chorzych ustawiono w długi szereg na korytarzu lazaretu. Spojrzałem na termometr, było 8 stopni R.,

a wszystkim, którzy przyszli się skarżyć na zaziębienie, kazano do pasa się rozebrać dla auskultacji. Tak stałem na korytarzu ze 20 minut, aż przyszła na mnie kolej wejścia do gabinetu lekarza. Zbadał mnie bardzo sumiennie.

Okolo południa zostało moje ciało wystawione na drugą próbę, gorszą: była to kąpiel. Po dziesięciu więźniów prowadzono do wielkiej izby, w której było dziesięć jakby kojców z jednej strony otwartych. W każdej takiej przedziałce stawał jeden więzień, a z góry puszczano równocześnie na wszystkich strumień gorącej wody. Ta metoda mi się podobała, bo daje gwarancję względnej czystości. Woda ścieka po mnie wprost do rynienki u nóg, a tędy do kanału. Ale panom dozorcóm, przy tem obecnym nie podobało się siedzieć w gorącej parze. Wszystkie więc cztery okna, wielkości dwóch lufeków każde, były otwarte, a wiatr wpadał z dworu, wdmuchując kłęby pary z powrotem. Wodę puszczaano w ciągu może 10 minut, a gdy każdy z więźniów się otarł, podejść musiał nieubrany do owej ściany, pod otwarte okna, gdzie go ważono i zapisywano wagę. Po zważeniu każdy więzień spocony i zgrzany wracał do swej celi. Przez otworzone drzwi na korytarz i otwarte okna tworzył się zabójczy przeciąg. Podług ksiąg lekarskich dałoby się stwierdzić, że po każdej kąpie-li z pomiędzy tych, co się kąpali, największy procent się zgłasza z zaziębieniami, zapaleniami płuc i reumatyzmem. Stwierdzenie statystyczne łatwe, bo co tydzień kąpią się więźniowie z jednej z czterech części budynku, tak, iż kąpiel przypada dla

każdego raz na 4 tygodnie. Przeprowadzanie napół ubranych, rozgrzanych kąpielą gorącą ludzi przez taki przeciąg, że stającemu w ostatnich drzwiach świszcze wiatr chłodny w uszach, zapewne równoważy „zalety“ więzień innych, gdzie wcale nie kąpią.

Początek kwietnia 1902.

Widziałem się z moją matką. Widzenie to było krótkie i przykre. Nie pozwolono mi nawet jej uścisnąć. Zaprowadzono ją do jednego pokoju, a mnie do drugiego. W ścianie, dzielącej oba, znajduje się otwór, wielkości drzwi, a w otworze tym gęsta podwójna siatka z drutu. Przedzieleni tą siatką drucianą takeśmy rozmawiali ze sobą.

Pierwsze słowa mojej matki — był to bolesny okrzyk, gdy mnie ujrzała: „Tak mi cię pokazują, mój synu, jak zwierza w klatce za kratą!“

Połowa kwietnia 1902.

Od dłuższego czasu prowadzę z dyrekcją wojnę o lepsze jedzenie. Zaznaczam wyraźnie, że wcale nie chcę twierdzić, aby zwykłe jedzenie więzienne było tu złe; ale dla człowieka mojej kompleksji fizycznej jest wręcz niemożliwe. Misą rozgotowanego ryżu z kartoflami, lub misą kaszy jęczmiennej — i to bez dodatku mięsa — poprostu nie jestem w możności zaspokoić głodu, bo nie mogę

tego wszystkiego zjeść; trzy ćwierci pozostawiam nietknięte — i pozostaję głodny. Nie jestem zaś o tyle chory, aby mi lekarz mógł przepisać lepsze jedzenie. Więc też w ciągu lutego i marca cierpiałem głód, o jakim wyobrażenia się niema. Nie przypuszczałem nigdy, że organizm ludzki tak mało potrzebuje zasiłku, a raczej — że istnieć może przy tak skąpem pożywieniu. Rano szklanka „kawy“ (coś w rodzaju gorących pomyi po czarnej kawie), resztę wylewałem do kubła; w południe dwadzieścia łyżek (słowem ręczę!) gęstej zupy z jarzyn; resztę wylewałem, bo mnie obrzydzenie brało, a chodziło mi tylko o chwilowe rozgrzanie się; na wieczór znowu szklanka lub półtorej szklanki wodnistej zupy z mąki, tartego chleba lub kaszki. Jedynie w niedzielę kawałek gotowanego mięsa i to na zimno. Kleistego obrzydliwego chleba nie jadałem wcale. I tak trwało „szereg tygodni“, dzień w dzień. Zrobiłem przytem kilka spostrzeżeń, które dla fizyologów może nie będą pozbawione wartości. Otóż odczuwałem zimno niesłychane; w celi było we dnie około 14—15 stopni Celsjusza (12° R.), w nocy naturalnie mniej, a ja pomimo tego względniego ciepła przy bardzo lekkiej zimie „odmroziłem“ sobie nogi i ręce. W nocy było mi tak zimno, że kładł się, wcale się nie rozbierając, zdejmując tylko buty. Dalej zauważyłem, że coraz większy apetyt miałem na sól, tak, że z solniczki codziennie z pięć do sześciu łyżeczek czystej soli kuchennej zjadałem bez żadnej przyprawy, samą sól sypiąc sobie na język, i to mi wielce smakowało.

Jakby niedość tych studyów głodowych, dokuczano mi w rozmaity sposób. Kilkakrotnie wszedłszy do swej celi po powrocie ze spaceru znalazłem całą pościel rozrzuconą na ziemi; materac, prześcieradło, poduszkę i poszewkę, wszystko gdzieś pod stołem, pod łóżkiem... „Co to było?” — pytam.

— „Była rewizya!”

Ach! szukali czy mi kto nie przynosi kielbasy, albo szynki i czy nie posiadam w łóżku spizarni. Ale im się ani nie śniło napowrót posłać łóżka. Więc ja zaczynam na nowo zaścielanie łóżka. Spijże sobie człeczce na poszewce i prześcieradle, które ci ostentacyjnie podeptano i w kurzu zamieciono!

Wielkanoc 1902.

W pierwsze święto Wielkiej Nocy siedziałem w mej celi przed południem w bardzo smutnym nastroju; myśl mimowoli zwracała się ku mojej osieroconej rodzinie, ku przerwanej pracy społecznej. Tłumnie cisnęły się tkliwe wspomnienia przeszłości, a przyszłość była przedemną przysłonięta jak gdyby grubą zasłoną kuru. Mimowoli myślałem o śmierci — i o tem, że to pewnie ostatnia Wielkanoc „taka”, bo sił nie czułem w sobie dość do przebycia dwóch lat...

Wtem otwierają się drzwi i staje w nich dozorca Molik. Wydobywa szybkim ruchem z kieszeni pakiet zawinięty w papier i podaje mi. Rozwijam, patrzę, znajduję małe święcone: kawał szynki i ciasta. A on mówi: „Tak mi było

boleśnie pomyśleć o tem, że pan doktor, którego wszyscy kochamy, spędza dzień dzisiejszy wśród tych czterech ścian, więc panu przyniosłem święconę“.

Łzy mi stanęły w oczach i tylko uściskiem dłoni wypowiedziałem, co czuję w tej chwili. A on dalej mówił: „Niech się pan nie smuci... Te dwa lata więzienia przeminą i pan powróci do dawnej swej pracy, aby dla nas wszystkich po dawnemu pisać“.

Ponieważ wkradł się do mej celi pokryjому, nie było czasu na długie rozmowy. Musiał mnie po chwili opuścić, aby go nikt nie zauważył.

27 maja 1902.

Z powodu coraz pogarszającego się stanu mego zdrowia, przeniesiony zostałem dzisiaj do szpitala więziennego. Chodząc na spacer w płóciennym ubraniu, przemokłem przed paru dniami do ostatniej nitki (kwadrans oprowadzali nas po podwórku pomimo ulewnego deszczu). Przeziębłem się, dostałem kataru, kaszlu, dreszczy, bólu głowy, gorączki.

Zanim pożegnam ostatecznie ten główny budynek więzienny, w którym przebyłem przeszło pięć miesięcy, jeszcze słów kilka o nim dorzucę. Przyglądałem się często, jak więźniowie żyją. Większość ich wpada szybko w stan zupełnej bierności, obezwładnienia fizycznego i duchowego. Nawet w godzinach wolnych od pracy żaden się nie rusza ze stołka, na którym siedzi. Rzadko kiedy sły-

chać jakieś kroki. Ta nieruchomość jest zupełnie sztucznie wywołana przez nacisk więzienia. Cele bowiem mają posadzki asfaltowe, z czarnego jakiegoś asfaltu, który po długim a uporczywym szczotkowaniu nabiera połysku, jak froterowana posadzka. Połysk ten jednak jest tak wiotki, że dość stąpięcia, aby się ślad stopy zaznaczył. Więzień jest obowiązany utrzymać posadzkę zawsze lśniąca, inaczej kara go czeka. Do tego jako narzędzie ma szczotkę nie większą od szczotki do butów, musi więc klęcząc lub leżąc na asfalcie raz przy razie szczotkować całą podłogę. Od tego kości i ręce w stawach bolą niesłychanie. Jeśli więzień siedział nieruchomo przez cały dzień i zrobił tylko parę kroków niezbędnych ku drzwiom, to pół godziny codziennego szczotkowania wystarczy mu, aby zatrzeć ślady szkód, jakie tej jego pracy poprzedniego dnia zrobił dozorca, wchodząc do celi, lub jakiś inny urzędnik. Jeśli zaś sam zacząłby się przechadzać po celi, jest zgubiony, bo każdy swój krok okupić musi przynajmniej pięciu minutami szczotkowania posadzki. Te asfaltowe podłogi w więzieniu — to policzek wymierzony higienie, a wymaganie od więźniów, aby je przez szczotkowanie doprowadzali do połysku, — to wręcz barbarzyństwo! — Co do mnie, tom wynalazł sposób praktyczny. Oto poprostu pociągałem podłogę szuwaksem od butów — i co tydzień spotrzebowałem pełne pudełko szuwaksu. Wsadziliby mnie do aresztu za karę, gdyby o tem wiedzieli. Ale podłoga w mojej celi błyszczała jak lustro — i to bez wielkiej pracy z mej strony! *Tableau!*

Budynek więzienny jest zimny i wilgotny. W celi 464 chleb położony przy ścianie pleśniał mi na drugi dzień. Gdy odwilż nastaje po długim mrozie, leje się woda w budynku lazaretowym ze ścian, nawet olejną farbą pociągniętych. W lazaretowym budynku można w takie dni oglądać na dolnym korytarzu i po schodach prowadzących nadół — strugi wody. (W sali operacyjnej, zrzadka ogrzewanej w zimie, stoi bowiem pusta, widziałem w zimie 1902 sopte lodu, wiszące u ścian w wysokości pół metra od podłogi).

W końcu maja wyszedł z więzienia Korfanty, który tu odsiedział cztery miesiące więzienia. W maju tegoż roku (w Poznaniu) siedział w więzieniu Biedermann: w ten więc sposób w tym miesiącu siedzieliśmy w więzieniach pruskich wszyscy trzej, którzyśmy we Wrocławiu pół roku przedtem zacydowali założenie „Górnoślązaka“, aby popchnąć naprzód bryłę śląską i Ślązk — ten „najcenniejszy klejnot korony pruskiej“ — Prusakom gruntownie przekształcić na fason polski. Jakże zazdrosem okiem czuwał sęp pruski nad swą zdobyczą! — Z Korfantym widywaliśmy się tylko przy sposobności chodzenia do kościoła — z daleka rozmawiając ze sobą — spojrzeniem.

Czerwiec 1902.

W lazarecie czuję się bardzo dobrze: miałem coś w rodzaju lekkiego kataru oskrzeli, minął jednak przy działaniu dobrej pogody i dobrego powie-

trza — w celach lazaretowych są bowiem normalnej wielkości okna, a i ogródek jest, gdzie więźniowie chorzy mogą parę godzin na dzień używać przechadzki. Ale i tu złość ludzka musiała poskąpić więźniom darów bożych: w oknach bowiem są matowe szyby, tak, że we dnie niepogodne, gdy okna trzeba zamknąć, pozbawionym się jest nawet tego kawałeczka nieba i zieleności w ogródku. Pytałem dozorca, dlaczego to? Odpowiedział, że zapewne dla tego, aby więźniowie, widząc z okien „wolność“ w ogródku, (ta wolność otoczona jest dwoma koncentrycznymi murami wysokości jednego piętra) nie byli pobudzani do myśli o ucieczce. Niezłe, prawda?

Czerwiec 1902.

Od kilku dni w celi sąsiedniej (Nr. 16) rozlegały się jęki i rżęzenie. Dziś nad wieczorem, około 8-mej, straszne krztuszenie się, przerażający krzyk i ucichło wszystko. — Obok mnie więc przeszła śmierć, zdmuchnąwszy skrzydłem jedno biedne życie. Gdy się już ściemniło, słyszałem rozmaite kroki, wreszcie poznałem kroki naszego posługacza, a gdy na korytarzu był sam (poznać to można przy wprawie po szmerach dolatujących przez drzwi), przywołałem go pukaniem i pytałem co się stało. Otóż mój sąsiad z Nr. 16, przyprowadzony od roboty parę dni temu w strasznej gorączce, miał rodzaj suchot gardłanych, czy czegoś podobnego. Gorączka coraz wzrastała, od wczoraj był nieprzytomny, było 40.5 stopni gorączki, dziś już 41 i

coraz wyżej. Właśnie skonał w paroksyzmie gorączki.

Przeniesiono mnie później z piętra górnego na parter. Jest wprawdzie trochę wilgotniej, chłodniej i niema widoku po za mur — ale zato wyostałem się z sąsiedztwa powoli konających suchotników, i odgłosu śmiertelnego rżenia nie słyszę.

Cela, którą zajmuję, № 8, jest już czwartą z kolei, odkąd tu jestem. Czwarty raz mam używać, jako swego, grzebienia po rozmaitych złodziejach, dlatego, że dyrektorowi nie spodobało się wydać mi mego grzebienia. Przy pierwszym widzeniu prosiłem dyrektora o własny grzebień lub szczotkę do włosów. Odmówił mi, twierdząc, że „używanie szczotki do włosów jest we Wronkach zasadniczo wzbronione“ (*Grundsätzlich unzulässig*).

Mam tu na nowej siedzibie nową przyjemność, oto gazety. Gazet mi zabronili odbierać, tak, że absolutnie nie wiem, co się dzieje na świecie. Ale więzień Nowak, czynny jako służący, stara się paraliżować ten zakaz, jak może. Otóż rano, w porze gdy najwięcej roboty, przysyłają skądś pewną liczbę jajek do lazaretu. Każde jajko owinięte w ćwiarteczkę gazety. Po południu zaś z apteki przynoszą lekarstwa, poowijane również w makulaturę. Nowak to wszystko dla mnie eskamotuje, udając, że rzuca do pieca.

W lazarecie dostaję dobre pożywienie. Kawa wprawdzie lura, ale lepsza niż w centralnem więzieniu. Przynajmniej pijąc tę wodę ma się wspomnienie kawy. Do tego dostaję bułki (doprawdy białe, delikatne bułki! ucieszyłem się niemi, jakbym

przyjaciela zobaczył), dalej masła 50 gramów, oraz spory kawałek kielbasy albo dwa jajka, do wyboru. Na obiad kawałek mięsa w zupie bez łożu, a na kolację zupę. Przychodzę więc do siebie. Aby jeszcze tylko ubranie dostać własne.

Lipiec 1892.

Awantura, jakiej świat nie widział! oczekiwałem na nadejście zapasowego garnituru z niecierpliwością, a gdy w tych dniach wreszcie nadszedł, oświadczył mi dyrektor, że póki jestem w lazarecie, póty mam nosić więzienne ubranie; a gdym zwrócił uwagę, że przecież pozwolenie na noszenie własnego ubrania mam, odrzekł mi w jego imieniu inspektor, że pozwolenie to tyczy głównego budynku, nie zaś szpitala więziennego. Byłem wściekły, dwa dni medytowałem jak się za to odwzajemnić i zażądałem wreszcie arkusza papieru na napisanie skargi na dyrekcję. Skarga ta, była to skoncentrowana żółć i jadowite ukąszenia piórem. Powiedziałem sobie: ubrania własnego i tak nie dostanę, niechże przynajmniej więc użyję i ulżę sercu. Napisałem do nadprokuratorowi, że „dziękuję za udzieloną mi radę, bym nabrał zaufania do dyrekcji, ale sami niech osądzą, czy w tych warunkach na to zaufanie ona zasługuje“; opisałem, że „wmawiają we mnie i teraz, iż posiadam prawo noszenia własnego ubrania, ale mi go nie wydają; że na kpiny kazali mi kupować drugi garnitur, nadający się do więzienia; że widocznie chyba rozkosz im to sprawia, gdy

mnie zmuszają do noszenia łachów, na których stempel widnieje: rok 1890, a dziury świadczą, że na grzbiecie samego wykwitu zbrodniarzy odbywały swą służbę; że dla świętego spokoju nie użalalem się, gdy mi w maju nie wydano mego tu znajdującego się garnituru i starano się opóźnić nadesłanie drugiego, bom się łudził, że wierzyć mogę słowu dyrekcyi; a takie postępowanie wpędziło mnie w chorobę i przeziębienie się w cienkich płóciennych kitelkach; że jeśli oni tak postępują z nieostatnim przedstawicielem prasy polskiej, to jest to jedynie jednym dowodem więcej, że artykuły, za które siedzę, są szczerą prawdą, i t. d.“ Skarga była napisana tak, że parę tonów wyżej, a byłbym dostał na kark proces o obrazę władz. Gdym ten pasztet odesłał do Poznania (nb. czytali to i dozorca, gdyż taki papier przechodzi przez wszystkie instancje), przez jakie dziesięć dni wszyscy chodzili koło mnie jak koło zarazanego tyfusem albo cholera, bo im się zdawało, że lada chwila przyjdzie z Poznania rozkaz, aby mnie wrzucić w jakie lochy i pozbawić światła i gorącej strawy na sześć tygodni, a mnie zaś spadł kamień z serca i te łachy więzienne, tak przezemnie sponsonowane, nie były mi już nieznośne, bom w nie ubrał poniekąd całą władzę więzienną.

Po 10-ciu dniach zjawił się inspektor więzienny i odczytał mi, że moja skarga została uznana za uzasadnioną. Musiałem się pod tem podpisać; uczyniłem to z taką przyjemnością, jakbym kogoś, zasługującego na kopnięcie, kopnął z wielkim rozmachem. W kwadrans potem przyszedł inny urzędnik, przechowujący rzeczy więzienne, z dwoma chłopac-

mi i na podłodze mojej celi wysypali z mego worka wszystko: buty, jedno palto, drugie palto, kamizelki, surduty, kapelusze, wszystko wydali, nie chcieli nie zatrzymać w worku, jakby się paliło. W pół godziny później spacerowałem po ogrodzie zupełnie innym, pewnym krokiem. Dozorca patrzy na mnie złem okiem, wie, że zasłużyłby się władzy, gdyby coś na mnie ukuł—ale grzeczny, o, jaki grzeczny!

Nieoceniony nabytek mam w służących, w jednym, który obsługuje piętro i drugim, który obsługuje parter. Jestem przez nich poinformowany o wszystkim, co chcę wiedzieć, oni bowiem z natury swej pracy, kręcą się po całym więzieniu, są przy wszystkim, co zajdzie w lazarecie, przynoszą i rozdzielają jedzenie z kuchni i t. d. Aby otóż od razu na właściwej stopie postawić stosunek mój do innych więźniów, każdemu z osobna w lazarecie powiedzieli, że ja jestem „doktór“. Sam jeden tylko w całym więzieniu noszę własne ubranie.

Któregoś dnia—dozorcy w ogródku nie było—zbliża się do mnie więzień Woliński. Wiedziałem już o nim wszystko od posługaczy. Młody człowiek, lat 25—28, na jakiejś majówce był uczestnikiem awantury, w której chciano zabić jego ojca. Chcąc bronić ojca, porwał z wozu dubeltówkę, wymierzył—i zastrzelił swego ojca. Dostał 3 lata więzienia. A był właśnie świeżo się ożenił, niespełna pół roku żył z żoną. Za ledwie rok odsiedział, a napisała mu żona, że chce wziąć rozwód. To wszystko razem tak mu pomąciło zmysły, że stał się trochę głupkowaty; co parę tygodni przestaje zupełnie jeść przez parę dni i żadną miarą do jedzenia zmusić go nie można,

mówi bowiem, że odprawia nabożeństwo za ojca. Co parę tygodni naprasza się, aby go wzięli do roboty, a gdy doktor zezwoli, w czas jakiś znowu wraca w obłądzie. „Po co ja tu w lazarecie”—mówi—„kiedy ja w sobie jestem zdrów; tylko mam suchoty, nic więcej”. Notabene, wcale nie kaszle. Nudzi lekarza swemi urojeniami niesłychanie. Co dzień ma coś nowego. Kiedyś znowu atakował lekarza, aby go odesłał do roboty, bo on jest zdrów. Lekarz, wyszedłszy z jego celi, rzekł do dozorecy już na korytarzu, tak, że Woliński nie mógł słyszeć: „Przenieść go na salę — to mu towarzystwo innych chorych może co pomoże”. Po południu zjawia się przeto w jego celi nasz posługacz Nowak, aby „przewodzący” Wolińskiego t. j., zabrać jego pościel, książkę do nabożeństwa i buty, na miejsce nowego przeznaczenia. Ale, nie wydając się z czem przychodzi, rzecze: „Słuchaj, Woliński, tyś prosił doktora, aby cię posłał znowu do roboty?” Woliński potakuje, ale z rzadką miną. „No — powiada Nowak — to zewłócz pościel zółzka, bierz książkę do nabożeństwa i marsz”. — „Braciszku—powiada na to Woliński płaczliwie—to naprawdę mam iść do roboty? Przecież jestem taki chory!”

Więzień Plath, pochodzący z Freistadt, chory na umyśle i przebywający w szpitalu więziennym dość dawno, dostał nagle napadu złości i potłukł szyby w swej celi (№ 6), połamał krzesło, stolik i nogą wyrwaną ze stołu zaczął okładać piec. Dozorca Numrosky, (Niemiec, katolik, dozorca szpitalny), wziął go po tej awanturze do pokoju kąpielowego, kazał służącym lazaretowym, aby go gwał-

tem nurzali w wodzie w ten sposób, żeby się musiał „za karę“ napić wody, a potem sam własnoręcznie okładał go trzcina, która się znajduje w budynku szpitalnym dla trzepania kolder i materaców. Obecni przy tem byli dwaj służący, Kazimierz Nowak, z Łabiszyna (ks. Poznańskie), parobek w dominium Łabiszyn, oraz Antoni Cbmielewski, robotnik fabryczny z Chodzieży (Chodziesen—Kolmar, ks. Poznańskie). Plath dostał wtedy bicie tak silne, że się przytem powalał. Słyszał bicie trzcina po gołem ciele i krzyki Platha więzień Peters, będący wówczas w celi najbliższej położonej.

Koniec lipca 1902.

Jakiś hakatysta puścił plotkę, wyssaną z palca, że ja, czy też moja rodzina, podała do Wilhelma II prośbę o ulaskawienie, a pono i nasze gazety tę plotkę w dobrej wierze powtórzyły, nie szczędząc mi przytem przykrych komentarzy.

Fakt, że dano wiarę podobnej, uwłaczającej plotce o mnie, bardzo mnie przygnębia. Znalezli się więc ludzie, którzy mogli przypuścić chociaż na chwilę, że ja tak dam w pysk własnemu duchowi!

O nie, ja nie wyjdę z za krat jako dłużnik Prusaków, któremu za łaską monarszą darowano karę, — ale jak wierzyciel, który te lata cierpień wybije na nich z lichwiarskimi procentami, aż z nich wyciśnie wyznanie, że głupimi byli, iż mając mnie w ręku, „tylko“ na dwa lata mnie skazali...

15 sierpnia 1902.

Do historyi znęcania się Numroskiego nad więźniami przybywa szczegół następujący:

Był w lecie 1902 w szpitalu więziennym niejaki Dyniewicz, który — zdaje się — udawał chorego. Numroski i na nim spróbował swego radykalnego środka — kąpeli w gorącej wodzie, połączonej z biciem. Gdy Dyniewicz wszedł do wanny, Numroski kazał, aby służący mu zanurzyli głowę pod wodę. Dyniewicz, wiedząc już od innych, że to jest preludjum do bicia, odepchnął służącego (bo silny chłop) i wyskoczył z wanny. Wtedy do niego przyskoczył Numroski i dwukrotnie z całej siły uderzył go w twarz, tak, iż Dyniewicz krwią się oblał. Świadkiem tego był służący Chmielewski.

20 sierpnia 1902.

Dzisiaj dowiaduję się o fakcie następującym: W lipcu, czy sierpniu 1902 r. był w szpitalu pochodzący z Gdańska więzień, Wojciech Brusiński, niemiec, (Adalbert Bruschinski), z Orau pod Gdańskiem, umierający suchotnik. Ponieważ potrzebował ciągłego dozoru, lekarz kazał umieścić go w wielkiej sali. Pewnej nocy Brusiński zanieczyścił pościel. Dozorca nocny obudził służących Chmielewskiego i Staniszewskiego (z Wrześni) i kazał im go zanieść do łazienki. Tu go umieszczono w wannie i puszczono strumień wody, naturalnie zimnej (bo nikt sobie nie zadawał kłopotu, aby roz-

palić ogień i grzać wodę). W ten sposób go obmywszy, kazali mu wrócić do sali. Lecz Brusiniński nie był w stanie iść o własnych siłach i przewrócił się na korytarzu, z jękiem: „O mój Boże!“ Jego upadek i jęk słyszeli ze swoich cel więźniowie Peters i Lawrenz, którzy cierpieli wówczas na bezsenność.

Brusiniński zmarł w 1, czy 2 dni potem. Wskutek tej zimnej kąpeli nagle stracił mowę i nie mógł się nawet wypowiedzieć.

Zabawna afera zdarzyła się w lazarecie w ubiegłą niedzielę. Zrana około 8 chodzę sobie po ogródku, gdy wtem z sali pierwszego piętra, gdzie przebywają ciężko chorzy i waryaci pod dozorem jednego z więźniów, dolatują krzyki, hałas przewracanych krzesel, brzęk misek, ciskanych o ziemię.

Później się rzecz wyświatla w następujący sposób: więzień, dozoruający chorych w sali, poszedł na nabożeństwo do kościoła. Ale, że sala z chorymi nie mogła zostać bez dozoru, więc na jego miejscu pozostał na tę godzinę posługacz z pierwszego piętra, Polak, poczciwa dusza, ale bardzo ograniczony. Że zaś zwykle on chodził co niedzielę do kościoła, a teraz nie mógł, więc gdy doleciał go odgłos organów, postanowił odprawić nabożeństwo, na jakie go stać było. Rzeczce tedy do czterech chorych, (dwóch było nawpół ogłupiałych Polaków, jeden ciężko chory, też Polak, i jeden Niemiec, młody chłopak, zupełnie zidyociały). Mówi więc do nich: „Żyjecie tu, jak psy, nie znając ołtarza, ani modlitwy! posłuchajcie organów, jak pięknie grają. Będziemy odmawiać pacierz“.

15 sierpnia 1902.

Do historii znęcania się Numroskiego nad więźniami przybywa szczegół następujący:

Był w lecie 1902 w szpitalu więziennym niejaki Dyniewicz, który — zdaje się — udawał chorego. Numroski i na nim spróbował swego radykalnego środka — kąpeli w gorącej wodzie, połączonej z biciem. Gdy Dyniewicz wszedł do wanny, Numroski kazał, aby służący mu zanurzyli głowę pod wodę. Dyniewicz, wiedząc już od innych, że to jest preludjum do bicia, odepchnął służącego (bo silny chłop) i wyskoczył z wanny. Wtedy do niego przyskoczył Numroski i dwukrotnie z całej siły uderzył go w twarz, tak, iż Dyniewicz krwią się oblał. Świadkiem tego był służący Chmielewski.

20 sierpnia 1902.

Dzisiaj dowiaduję się o fakcie następującym: W lipcu, czy sierpniu 1902 r. był w szpitalu pochodzący z Gdańska więzień, Wojciech Brusiński, Niemiec, (Adalbert Bruschinski), z Orau pod Gdańskiem, umierający suchotnik. Ponieważ potrzebował ciągłego dozoru, lekarz kazał umieścić go w wielkiej sali. Pewnej nocy Brusiński zanieczyścił pościel. Dozorca nocny obudził służących Chmielewskiego i Staniszewskiego (z Wrześni) i kazał im go zanieść do łazienki. Tu go umieszczono w wannie i puszczono strumień wody, naturalnie zimnej (bo nikt sobie nie zadawał kłopotu, aby roz-

palić ogień i grzać wodę). W ten sposób go obmywszy, kazali mu wrócić do sali. Lecz Brusiński nie był w stanie iść o własnych siłach i przewrócił się na korytarzu, z jękiem: „O mój Boże!“ Jego upadek i jęk słyszeli ze swoich cel więźniowie Peters i Lawrenz, którzy cierpieli wówczas na bezsenność.

Brusiński zmarł w 1, czy 2 dni potem. Wskutek tej zimnej kąpieli nagle stracił mowę i nie mógł się nawet wypowiedzieć.

Zabawna afera zdarzyła się w lazarecie w ubiegłą niedzielę. Zrana około 8 chodzę sobie po ogródku, gdy wtem z sali pierwszego piętra, gdzie przebywają ciężko chorzy i waryaci pod dozorem jednego z więźniów, dolatują krzyki, hałas przewracanych krzesel, brzęk misek, ciskanych o ziemię.

Później się rzecz wyświatla w następujący sposób: więzień, dozoruający chorych w sali, poszedł na nabożeństwo do kościoła. Ale, że sala z chorymi nie mogła zostać bez dozoru, więc na jego miejscu pozostał na tę godzinę posługacz z pierwszego piętra, Polak, poczciwa dusza, ale bardzo ograniczony. Że zaś zwykle on chodził co niedzielę do kościoła, a teraz nie mógł, więc gdy doleciał go odgłos organów, postanowił odprawić nabożeństwo, na jakie go stać było. Rzeczce tedy do czterech chorych, (dwóch było nawpół oglupiałych Polaków, jeden ciężko chory, też Polak, i jeden Niemiec, młody chłopak, zupełnie zidyociały). Mówi więc do nich: „Żyjecie tu, jak psy, nie znając ołtarza, ani modlitwy! posłuchajcie organów, jak pięknie grają. Będziemy odmawiać pacierz“.

I zaczyna odmawiać z nimi pacierz. Naturalnie po polsku. Polacy za nim powtarzają, a Plath, ów Niemiec, ani gęby nie otworzy. Oburzyło to służącego; rzecze więc do Platha: „Słuchaj ty, Plath, chorobo, czemu nie mówisz pacierza, kiedy ci każe?”

A Plath na to: *Verstehe nicht polnisch*. Służący powtórzył mu po niemiecku to samo, i mówi „Ojczy nasz“ dalej.

A Plath znówu siedzi z zamkniętą gębą. Służący tedy znówu mówi: Czemu nie modlisz się? A Plath na to: *Ich bin kein Pole*. Wtedy służący, zadraśnięty do żywego w swych uczuciach zarówno religijnych, jak i narodowych, jak go nie huknie w pysk: „Masz za to, że się nie modlisz!”—jak go nie huknie drugi raz: „Masz za to, żeś nie Polak!” Aż się Plath ze stolikiem nocnym, szklanką i miskami wywrócił, a czując, że ta bezsilność jest jego bronią, pozostał w tej pozie i w tym chaosie, krzyżąc ratunku, aż przyszedł dozorca. Że zaś służący cieszył się względami dozorecy, więc doktorowi o tem nie powiedziano, jak wogóle przed lekarzem tają wszelkie wybryki tego rodzaju. Służącego nie spotkała żadna kara—prócz tej, że przeniesiony został z lazaretu do zabudowań kuchennych i tu przy gotowaniu i skrobaniu kartofli znalazł właściwe pole dla swych zdolności.

Lekarz więzienny zasługuje ze wszecch miar na uznanie—i gdyby wykonywano jego zlecenia, szpital więzienny byłby istotnie posiadał zalety niezwykłe. Ale dozorecy, nie lekarz, są właściwymi kierownikami lazaretu—ci zaś lekarza okłamują na wszystkie strony a sami rządzą, jak im się podoba.

Wrzesień 1902.

Dyrektor jest nieobecny, bawi bowiem na urlopie. Z tego powodu rozluźnia się rygor więzienny. Dozorca lazaretu Numrosky kilkakrotnie popołudniu zapraszał do swego biura dozorcę Buchwalda i tu się raczyli spirytusem aptecznym, przeznaczonym do celów antyseptycznych. Świadkowie: Chmielewski i Nowak, którzy widzieli zarówno fakt, jak i obu dozorców mocno podchmielonych. Naturalnie Numrosky dolewa potem wody do balonu ze spirytusem, a najgorzej na tem wychodzą ci więźniowie, którym lekarz każe rany przemywać spirytusem.

(Mnie w listopadzie kilkakrotnie z polecenia lekarza dawano spirytus dla przemywania rany, która mi się zrobiła. Byłem ostrożny i poprzednio skosztowałem, czego mi dali, bo nie pachniało wcale spirytusem. Okazało się, że to była woda, wlana do butelki po spirytusie. Dopiero wskutek energicznej reklamacyi dozorca Numrosky musiał mi dać czystego spirytusu).

Październik 1902.

Wprawdzie z rozporządzenia dyrekcji zabroniono mi rozmawiać z innymi więźniami na spacerach w ogrodzie (nie jestem tego spragniony, choć dla innych wolność rozmawiania ze sobą, panująca w lazarecie, jest bodaj że największą z rozkoszy pobytu tutaj), ale za to przez posługujących więźniów dowiaduję się o wszystkim, co się dzieje w la-

zarecie. Nowinek bywa sporo: ten a ten dostaje od dzisiaj wino, bo już nie może trawić, owego odstawiono do roboty, bo udawał tylko chorobę, inny umarł i od dwóch dni spoczywa w przyciemnionej izbie piwnicznej w budynku lazaretowym. Umiera tu dużo ludzi. Jestem od maja, a już sześć razy okno piwniczne było zasłonięte — na znak, że jest tam ciało zmarłego, po które zgłosi się policya. Dla niektórych chorych, potrzebujących ciągłego nadzoru, jest osobna wielka sala na pierwszym piętrze, o pięciu łózkach. W nocy tam siedzi osobny dozorca nocny, a we dnie jeden z więźniów (zdrowy) specjalnie do tego odkomenderowany, który w tej sali razem z chorymi przebywa. Na takich stróżów wybierają zawsze najsilniejszych chłopów, bo często się zdarza, że muszą używać przemocy wobec waryatów. To prowadzi do strasznych nadużyć. Najjaskrawsze zaszło w maju r. b.; gdy się dostał do lazaretu, na dole spoczywało właśnie ciało świeżo zmarłego więźnia niejakiego Kolasińskiego. Był to ten sam, jak się dowiedziałem, który na początku roku nagle w nocy dostał obłądu i przebudził mnie swymi jękami „o Jezul“ Skazany był na 3 czy 4 lata za podpalenie, a przysięgał w godzinie śmierci, odzyskawszy przytomność, że niewinnie. Spalił się Niemiec, więc winnym mógł być tylko Polak. Inny Niemiec przysięgał na jego niekorzyść. Biedny Kolasiński, zdaje się, robotnik na roli, pozostawił niezapatrzoną żonę i czworo czy pięcioro dzieci. Nie mógł biedaczysko tego znieść i dostał obłądu. Chłop jak dąb, w sile wieku. W lazarecie był czas jakiś; chwilami się uspokajał, to znów go szal ogar-

niał. W maju dostał takiego napadu, który się powtarzał co noc. Wrzaski jego rozlegały się po całym budynku; w nocy się awanturował, tłukł głową o ścianę, we dnie śpiewał i ryczał. Połknął metalowy krzyżyk i medalik, który nosił na szyi. Krzyżyk odnaleziono w ekskrementach, medalika nie. Za brak uwagi dostał ogromną naganę za to stróż i dozorca. Stróżem był wtedy Niemiec Hugo Wuttke (Wodtke?) z Hawy (Eylau), wypuszczony w lecie 1902. Gdy Kolasiński się znów w nocy awanturował, odstawiono go do celi waryatów. Nie obešlo się przytem bez bicia. Widział to inny więzień, Berthold Krüger. Ta cela, to izba bez okna i bez wszelkich przedmiotów. Na ziemi leży masa waldbaru, pęki pakul i włosia, ściany poobstawiane materacami. Wpuszczają tam waryata zupełnie nago; zazwyczaj każdy już po krótkiej godzinie się uspakaja i zagrzebuje w barłogu. Nie tak czynił jednak Kolasiński. Awanturował się i tam. W nocy więc zamykał się z nim ów Wuttke, dozorca i którykolwiek z posługaczy. Co się tam działo, wiem tylko z relacyi Nowaka. Uciszczyli furyata tem, że go walili kulakami w brzuch i „ślabiznę“, aby tchu nie mógł złapać. Co rano wychodził ztamtąd siny, doktorowi się nie skarżył, bo waryat. Wkrótce umarł na zapalenie błony brzusznej.

Odtąd Wodtke sypiał spokojnie w nocy. — Takie pastwienie się nad bezbronnym nie jest czemś niezwykłym. Mamy w lazarecie 15-letniego więźnia, żyda, nazwiskiem Salomon Michelson, z Łodzi. Chłopak ten jechał do Berlina (czy z Berlina) „na szwarc“, lecz go przyłapali we Wronkach i wysadzili. Nie

miał ani feniga pieniędzy i aby się zemścić za taką niespodziankę, krzyżującą dalsze jego zamiary, zaczął się przy torze kolejowym i położył parę kamieni na szynach. Spotrzeżono to wczas i pana brata oddano w ręce policyi. W areszcie policyjnym zaczął udawać waryata, rozwalił piec kaflowy, ledwie pożaru nie zrobił, oddano go więc z przeczności do centralnego więzienia, jako więźnia w śledztwie. Tu kontynuował swą rolę, dokuczał wszystkim więźniom w ogrodzie, o czwartej rano zaczynał śpiewać, z dozorcami wyprawiał hece. Lekarz zalecił, aby to tolerowano, a uspokoi się. — W najgorszym zaś razie miał być prowadzony do celi furyatów. Że go tam delikatnie nie transportowano do tej celi z ogrodu, gdy zaczął się awanturować na spacerze, to jasne; kopał bowiem i kąsał nawet tych, co go za kark ciągnęli. Ale zdarzyło się kiedyś, że awantury rozpoczął w dzień, kiedy służbę pełnił dozorca Wademann, który był wobec mnie zawsze na swoim miejscu. Ten się zamknął z nim w celi furyatów i bił go rzemieniem paskiem tak, że mi opowiadali posługacze, iż chłopak miał całe plecy sine. Coś z 5 dni trzymał go w tej celi, dając tylko rano kawę i wieczorną zupę, a posługacz z łaskawości chyłkiem mu trochę mleka zanosił; chłopak gdy po tych pięciu dniach wyszedł poraz pierwszy do ogrodu, z czerstwego i rumianego stał się wynędzniały i blady. Mówił mi, że się chciał powiesić. Później się odżywił. Że go bili, w żywe oczy przy mnie dozorcóm wyrzucał. Coś podobnego, lecz jeszcze bezczelniej, robili z nieszczęsnym waryatem, niejakiem Liszkowskim. Był

to silny barczysty mężczyzna, w sile wieku, rolnik, ojciec licznej rodziny. Dostał nagle obłędu mającego pozory furii. Przyprawiono go do lazaretu, dwa dni był spokojny, potem nagle w nocy zaczął jęczeć niehumanym głosem. Dni kilka trwała zupełna nieświadomość. Walił o ścianę głową, nie mogli go utrzymać. Specyjalnie dodano mu dwóch stróżów, którzy z nim chodzili i na spacer. Biedaczysko co parę kroków klękał na ziemi, zdejmował czapkę i modlił się głośno, a wtedy twarz jego nabrała głęboko smutnego, przytomnego wyrazu. Ale jego towarzysze, podbudzani przez dozorców, chwili spokoju mu nie dawali. Gdy ukląkł, natychmiast go podnosili pod ramiona i, szarpiąc, przemocą prowadzili, a on się opierał z całych sił. Gdy go tak doprowadzili do wściekłości ciąglem sprzeciwianiem się (dwadzieścia razy, raz za razem, zdjął czapkę, ukląkłszy, tyleż razy oni mu ją włożyli), wtedy jęczącego i tupiącego wręcz jak bydlę, ciągnęli popychając kulakami, aby w tym lochu się z nim zamknąć. Działo się to na oczach wszystkich więźniów, a bywalec Kropidłowski, który w rozmaitych domach karnych i więzieniach już przebywał, mruczał, że nigdzie podobnego barbarzyństwa nie widział. Lekarz o tem nie wie. Kazał go kąpać i w mokre prześcieradła owijać, a potem we dwa koce. Ponieważ Liszkowski był przy tej niezwyklej procedurze nieposłuszny, zbili go w najokropniejszy sposób. Twarz miał pokaleczoną i ogromne guzy i szramy krwawiące na głowie, kolana potłuczone sino-czarne. Że nie chciał się rozbierać, więc go walili pięściami. Opowiadał mi jeden z służących,

który był obecny, że plecy i siedzenie od bicia raz przy razie „ma czarne jak ten asfalt na posadzce“. Gdy się lekarz pytał skąd te szramy na twarzy (ciała bowiem nie widział) mówili mu, że to sam sobie porobił. Po tygodniu, czy dniach dziesięciu przyszedł do przytomności i pobył jeszcze dni parę.

Wypadek katowania jeszcze jeden się wydarzył teraz. Jakiś Kieszkowski, Niemiec, z Gdańska, wojskowy krawiec pułku dragonów, odsiadywał tu karę i dostał łagodnego oblędu, który tylko wyjątkowo przechodził w szaleństwo. Lekarz kazał go kąpać. Do kąpieli (wanny) ów waryat nie chciał wchodzić. Zamknął się z nim dozorca Wademann w kąpieli i zbil go na kwaśne jabłko. Nazajutrz przychodzi lekarz, pyta o stan chorego. Okazuje się, że jest lepiej. Mówi więc: To i dziś niech się wykąpie, kiedy mu pomogło. Na to Kieszkowskiemu lzy w oczach stanęły i błagalnym tonem zaczął prosić: Wszystko chętnie przyjmę i wypiję — *bloss nicht baden!* i drżączki ze strachu dostał. Biedak myślał, że łaźnia jaką dostał nieodłączna jest od kąpieli. Lekarz pewnie miał jakieś podejrzenie i zapytał: kto z nim był? — na co odrzekli, że sam Wademann. Wademann się tylko oblał rumieńcem.

8 listopada 1902.

Więzień Juliusz Maschke z Bydgoszczy, handlarz włoszczyzny, był świadkiem licznych nadużyć w szpitalu i, mając za parę dni opuścić więzienie, zdecydował się zrobić zażalenie, że więźniów w szpi-

talu biją. Zameldował dozorczy, że chce z dyrektorem mówić w tej sprawie. Padł wielki popłoch na dozorców i Numrosky, któremu najwięcej grozi, mocno sobie podpiwszy dla odwagi, groził Maschke, że mu wytoczy proces sądowy o obrazę, jeśli zrobi zażalenie. Nadzorca Radke również przedstawiał mu, że dla własnego dobra powinien zaniechać zażaleń. W ten sposób go nastraszyli, a dyrektor Rüstow udał, że o jego zamiarze nie wie i ani słówkiem go nie zagadnął przy wypuszczeniu. Aby tę sprawę zbadać gruntownie, upatrzyłem sposobność i zajrzałem do książki meldunkowej. I oto co znalazłem i na co własnymi patrzyłem oczyma: Pod datą 13/X 1902 czytamy: *Julius Maschke will den Direktor sprechen um ihn über alles aufzuklären, wie es im Lazaret vorgeht i t. d.* Przy teje znajduje się uwaga z boku *Erl* (edigt) 13/X. Pod tą samą datą czytamy: „*Rakowski will den Direktor sprechen*“. Do mnie dyrektor przyszedł, owego Maschke zaś z umysłu pominął.

15 listopada 1902.

Okolo południa leżałem w łóżku, będąc chorym, gdy wszedł niespodzianie inspektor Pigulla, prowadząc ze sobą jeszcze jakiegoś obcego na oględziny. Na łóżku chorych w lazarecie, tak jak w szpitalach, jest przybita tabliczka z nazwiskiem chorego, to też w lazarecie nigdy przepisanego meldowania się wchodzącemu urzędnikowi więźniowie nie przestrzegają. Wszedł — patrzy na mnie, ja pa-

trzę na niego. Oczekiwał pewnie skinięcia głową, jako ukłonu. Ja zaś ani okiem nie mrugnąłem, bo przepisy o innym „powitaniu“ prócz zdjęcia czapki nie nie mówią. Twarz robi groźną, nadyma się (gruby jest jak beczka) i tubalnym głosem woła: Dlaczego się Pan mi nie meldujesz? — Milcząc, wskazuję na tablicę z nazwiskiem na łóżku. „Pan się masz meldować, jeśli ja wehodem! Rozumiesz Pan!” Wykrzykiwał podniesionym głosem, że mnie wpakuje na tydzień do aresztu i t. p. Oddzielony parą żelaznych drzwi odemnie służący lazaretowy, Kazimierz Nowak z Łabiszyna, słyszał tę hecę. Był jej świadkiem wreszcie i ten obcy, którego Pigulla nazywał „assesorem“. — Po chwili wyszli. Odwiedzali wszystkich chorych w lazarecie, nikt się nie meldował, oni też od nikogo meldowania nie żądali.

Na mnie zrobił Pigulla podówczas wrażenie, że był trochę „podehmielony“. To samo spostrzeżenie zrobiło kilku innych więźniów.

— — — — —

Zdumiewa niesłychana liczba ludzi, którzy tu waryują w więzieniu. Czyni to samotne zamknięcie w odosobnionych celach. Sądzę, że system celkowy się nie utrzyma, gdyż żadne inne więzienie nie posiada tylu waryatów i tylu nie oddaje do domów obłąkanych. W ciągu miesięcy 7-u — od maja do końca roku — byli tu już, o których sam wiem: Kolasiński, Kurzawa, Plath, Kurka, Helak, Kieszkowski, Woliński, Baum. Pierwszy zmarł, dwaj ostatni są jeszcze, pięciu zaś pozostałych odesłano stąd już do domu obłąkanych do Owińsk. Jeden tylko Liszkowski powrócił do zdrowia. W głów-

nym budynku za pukanie w ścianę czeka kara tygodnia aresztu, a cóż dopiero za usiłowanie rozmowy! To też umysły słabsze ulegają zupełnie wpływowi samotności i albo dostają napadu furji albo wpadają w melancholię. Niech minister przejrzy statystykę i porówna procent ludzi, którzy zwaryowali we Wronkach, a tych, którzy zwaryowali w innych więzieniach, a dojdzie do wniosku, że niema gorszego barbarzyństwa nad to prowadzenie ludzi gwałtem nad krawędź obłądu. — A trzeba wiedzieć jeszcze co to jest kara aresztu! Areszt — to cela ciemna (na oknie założona okiennica). Zamiast łóżka jest rodzaj kamiennego wyżłobienia. Cela ta przedzielona jest wewnątrz umieszczonemi kratami na trzy części. Jedna zewnętrzna (przy zasłoniętem oknie), druga zawiera owo kamienne łożo i dwa kroki kwadratowe od łoża do ściany, trzecia sąsiaduje z drzwiami i rurą ogrzewającą. Więzień znajduje się w środkowej, tak, iż ani chodzić po celi nie może, ani się zbliżyć do rury, aby się ogrzać. Wpuszczają go tam w specjalnem ubraniu, którego nie może wcale zdjąć, zasznurowane jest bowiem na plecach, nie dają mu żadnego posłania ani kołdry, a z jedzenia zazwyczaj tylko kolację, co trzeci dzień zaś pełne pożywienie i kwadrans przechadzki. Mogą go tak trzymać sześć tygodni. Rozmaitości to działa na ludzi. Chłopak 16-letni, Helak, za przestępstwo, kwalifikujące się przed forum lekarza, popełnione w więzieniu, otrzymał areszt — i wyszedł z niego kompletnym idiotą, którego widziałem w lazarecie — jako bolesną karykaturę człowieka. Obecnie jest w domu obłąkanych w Owińskach.

12 stycznia 1903.

Odszedł dziś dotychczasowy posługacz lazaretowy z mego korytarza. Odsiedział 2 lata jakby bułkę zjadł. Poczciwy chłopak nieocenione oddawał mi przysługi. Z jego pomocą wiedziałem o wszystkim co się dzieje w całym więzieniu. Codziennie pomiędzy 12 a 2, gdy dozorecy niema, a on zajmował się porządkowaniem korytarza, prowadziłem z nim długie rozmowy przez drzwi. Przed odejściem wyznał mi jeszcze, że nasz dozorca lazaretowy, ten ugrzeczniiony wobec mnie Numrosky, na początku zeszłego roku namawiał jego i jego towarzyszy, roznoszących jedzenie mięsne, aby nie mówili do mnie „Pan“ lecz jak do innych kolegów-więźniów „Ty“. Poczciwy chłopak wstydził mi się to wyznać dotychczas, bo go sama myśl o tem żenowała. Powiedział mi inną rzecz jeszcze — dla ewentualnego zużytkowania, gdybym musiał się bronić. W celi Nr. 2, na tym samym korytarzu przebywa od paru dni waryat Baum. Hałasuje, wali we drzwi, śpiewa, gwizdże. Aby go uspokoić, kazał mu lekarz leżeć w łóżku cały dzień. Jemu to nie w smak. Aby się zemścić wpadł na dziki pomysł. Około godz. 10 rano wchodzi dozorca do celi i widzi: przy łóżku, na nocnym stoliku, stoi miska od jedzenia, pełna nieczystości. Powietrze — nie do wytrzymania. Krzyczy na Bauma, ten zaś odpowiada: Doktor nie kazał mi wstawać, więc nie wstałem, a żeście mi nic innego pod ręką nie postawili — więc weźcie sobie to. — Dozorca kazał mu wstać, zmusił go do wymycia miski a gdy po

chwili rozdzielano mleko, nalał mu w tę samą miskę i był obecny tak długo, dopóki Baum z niej nie wypił. Trzeba zaś wiedzieć, że wszystkie miski w celach są jednakowe i przy rozdawaniu obiadu wędrują z celi do celi. Ja, dzięki Nowakowi, byłem przezorny i odkąd tu jestem w lazarecie, jadłem w misce, noszącej specjalny znak.

Koniec stycznia 1903.

Zimno okropne. Odkąd Nowaka niema, nie potrafią palić porządnie w piecach, termometr u mnie wskazuje w południe 8 stopni, rano 5 — 6° R. To lazaret—niech go piorun spali! Widocznie chcą suchotnikom wytępić mrozem wszystkie laseczniki. Mój dziadek był w Kurhanie w Tobolskiej gubernii i na Sybirze pewno tak zębami nie dzwonił, jak ja tutaj. Robię demonstrację: siedzę cały dzień w palcie, z podniesionym kołnierzem. Chcieli mi dać trzecią kołdrę wołokową do pokrycia na nogi. Owszem, powiadają, ale jeśli mi dacie ją nie z lazaretu, lecz nową, wprost ze składu. Nazajutrz przynieśli mi kołdrę. Numrosky powiada, że wprawdzie nie jest nowa, ale była tylko w centralnym budynku, a w lazarecie nieużywana; istotnie widziałem, że niesiono ją z głównego budynku do lazaretu przez ogród, gdym właśnie się przechadzał. Tymczasem posługacz Chmielewski (z Chodzieży), który ją niósł, powiedział mi pokryjomu, że gdym się przechadzał, dozorca wyniósł tę kołdrę z lazaretu (z celi Nr 16, umarł tam ktoś w lecie na galopują-

ce suchoty) i pokryjomu wyniósł ją głównem wejściem na podwórze, a potem kazał Chmielewskiemu nieść przed mojemu oczyma, jakoby z głównego budynku. To Chmielewskiego tak oburzyło, że powiedział, że woli być zamknięty w samotnej celi, niż przykładać rękę do takich szelmostw. Załagodził go dozorca, a do mnie nazajutrz przynieśli trzy kołdry wogóle nieużywane i całą nową pościel, ręczniki i ścierki, które zawsze dawać mi będą te same. Urzędnikowi, który to załatwiał, rzekłem: To weźcież i ten obrzydliwy materac, poplamiony i podziurawiony, pełen śladów krwi!

Materac dali inny.

20 lutego 1903.

Cały zarząd więzienia we Wronkach i większość dozorców—są to naturalnie hakatyści zajadli. Nienawiść do wszystkiego, co polskie, ujawnia się w tysiącznych drobnych szczegółach równie dobrze, jak w ważniejszych sprawach. Większa część książek, z których się składa biblioteka dla użytku więźniów—są to dzieła o tendencyi, która obrażać musi nie tylko każdego Polaka, ale i każdego katolika. Jest też prócz obfitego zasobu dzieł tego pokroju kilkadziesiąt zeszycików groszowych wydawnictw polskich dla więźniów, nie umiejących po niemiecku; ale kilku więźniów, którzy faktycznie nie rozumieli wcale po niemiecku, utyskiwało przedemną w tajemnicy, że, pomimo próśb i błagań, nie mogą dostać żadnej polskiej książki na niedzielę.

Dawniej więźniowie we Wronkach otrzymywali też w polskim języku pisemko ludowe dwutygodniowe „Przewodnik katolicki“, wydawane z ramienia władzy duchownej w Poznaniu. Miałem kiedyś dawniej numer tego pisma w ręku: artykuł wstępny, w niem — jest to zwykle kazanie niedzielne i objaśnienia Pisma św. — Artykuły takie, jak np. „przeciw opilstwu“, „o potrzebie modlitwy“, dopełnią reszty. I takiego oto pisemka, poświęconego sprawom religijnym, we Wronkach więźniowie nie dostają, bo wychodzi w polskim języku!

Zaznaczyć tu należy, że Niemcy, zarówno protestanci, jak i katolicy, w więzieniu zaopatrywani są co niedzielę w takie pobożne pisemka. Tylko Polacy nie!

Wykluczanie języka polskiego dochodzi do tego, że Polakom w więzieniu dają niemieckie książki do nabożeństwa. Nawet mnie też dali niemiecką książkę do nabożeństwa, z którą (stosownie do regulaminu) musiałem co niedzielę chodzić na mszę do kaplicy więziennej.

Widziałem i inny ciekawy faktik tego samego pokroju. Trzeba wypadku, że aptekarz we Wronkach jest Polakiem. Etykiety na butelkach z lekarstwami noszą przeto napisy w dwóch językach. Niejednokrotnie widziałem butelki z lekarstwami, z których etykiety na miejscu w więzieniu, atramentem wymazywano napis polski „apteka we Wronkach“.

Ta walka ze wszystkim, co przychodzi na myśl, że my istniejemy, posuwająca się nawet do tak przesadno-chorobliwych objawów, mimowoli

przywiodła mi na myśl tę słynną scenę z Macbetha, gdzie lady Macbeth chce zmyć krwawe plamy ze swych rąk. — Takim zmywaniem krwawych plam, taką walką z duchem zamordowanego Banka jest dziś ta polityka hakatystyczna, któraby rada wymazać z teraźniejszości i z przeszłości wszelki ślad naszego istnienia.

Wśród dozorców więziennych nastrój anty-polski brutalną przybiera często formę. Oto fakt, wiele mówiący: Waryat Kuroпка często mówił sam do siebie głośno! Ilekroć się zdarzyło, że mówił po polsku, tyle razy obecny na sali dozorca Mörker bił go za to po twarzy. Świadkiem jest ówczesny więzień, Alfred Moses z Berlina.

A oto fakt inny: Więzień Stanisław Bergman z Poznania pisał pewnego razu list do domu. Zaadresował go po polsku. Odbierał list ten od niego dozorca Feik. Zobaczywszy adres polski, zawołał Feik: *Du verstuchter polnischer Hund darfst nur deutsch schreiben!* Dał mu nową kopertę i kazał na nowo zaadresować, naturalnie po niemiecku.

Pewnego dnia jeden z dozorców słyszał jak (często tu wzmiankowany) dozorca lazaretowy Numrosky (Niemiec) mówił do inspektora więziennego B.: „Jakże się czuję nieszczęśliwym, że muszę nosić takie wstrętne polskie nazwisko“!

Ten sam Numrosky w połowie lutego 1903 dał następujące zlecenie służącemu w lazarecie, Antoniemu Chmielewskiemu: „Gdy będzie się kąpał w wannie więzień Kropidłowski, idź do łazienki i rozmawiaj z nim po polsku. Ja się ukryje za drzwiami i będę słyszał, że Kropidłowski rozmawia po

polsku — a wtedy go podam dyrektorowi do ukarania i pozbędę się go z lazaretu“.

Chmielewski zaś, który niebawem opuszcza więzienie, a przytem widział tyle sprawek Numrosky'ego, że mógłby go do więzienia wsadzić, nietylko go nie posłuchał, ale go zwymyślał i zagroził, że o wszystkich przestępstwach dozorców mnie zawiadomi. Tak się tego zląkł Numrosky, że od tej chwili pilnuje Chmielewskiego, jak oka w głowie, aby tylko ze mną się nie widział. Pomimo to jednak Chmielewski upatrzył chwilę stosowną dla pomówienia ze mną i przedewszystkiem mnie powiadomił, że Numrosky pod pozorem reparacyi mojego starego materaca usiłował mi wkrecić najgorszy materac inny, z oddziału suchotników. Będąc przestrzeżony przez Chmielewskiego, zażądałem kategorycznie zupełnie nowego materaca, a nie przyjąłem reperowanego, nie mogąc stwierdzić, czy to jest ten sam, na którym przedtem sypiałem. Dostałem nowy.

23 lutego 1903.

Dziś Chmielewski wyszedł z więzienia, oświadczając gotowość zaprzysiężenia wszystkiego, o czem mi kiedykolwiek donosił. Numrosky jest chory i ledwo się na nogach trzyma, nie brał jednak urlopu, dopóki nie wyjdzie Chmielewski z więzienia, sądząc, że zdoła osobistą czujnością zapobiedz widzeniu się mojemu z Chmielewskim.

Otóż omylił się!

Numrosky już od ubiegłej jesieni niedomaga, a sam się nabawił choroby i to w okolicznościach, które warto zapisać: Pamiętam, było to w którąś niedzielę w listopadzie 1902. Przyszedł rano na służbę kompletnie pijany, bełkotał, a nie mówił i ledwo się trzymał na nogach. Takim go widzieli wszyscy więźniowie. Popołudniu, aby się otrzeźwił, kazał sobie przygotować gorącą kąpiel, więźniów zaś samopas wypuścił do ogrodu i kazał im obrywać liście z drzew „ponieważ to już jest zima“. Nigdy się tak nie uśmieł, jak wtedy.

W godzinę później przychodzi służący Nowak do ogrodu i powiada do mnie ze śmiechem, że „Numrosky byłby się ugotował i utopił w wannie, gdyby on był w porę nie nadszedł“, bo tak był pijany, że nie mógł zakręcić kurka z gorącą wodą i siedział w ukropie 45° Celsjusza, w wannie, z której się woda przelewała, gdy wszedł Nowak i wyciągnął go.

Po tej łaźni, Numrosky wyszedł bez palta do ogrodu i stał z godzinę, „aby się ochłodzić“, a od tej pory wciąż choruje.

Na krótko przed pójściem na kilkotygodniowy urlop Numrosky dopuścił się w więzieniu ohydneho czynu, zdaje się, w sobotę (około 20 — 21 marca 1903). Z więzienia małoletnich przyprawiono do piwnic w lazarecie jakiegoś młodego chłopca, który podobno gryzł i kopał dozorców. Okuto go w kajdany i okutego na rękach i nogach przytwierdzono antabami żelaznymi do ściany, tak, że nie mógł się ruszać. Kto dał to bezprawne polecenie, nie wiem: małoletnich bowiem tak okuwać nie wolno. To wiem

jednak, że w towarzystwie posługacza Stanisława Witkowskiego, pochodzącego z Wodziec, powiatu Kępińskiego (w Ks. Pozn.) — Numrosky poszedł do owej celi piwnicznej, gdzie wisiał przykuty do ściany ten młody chłopak i tam kilkakrotnie silnie go policzkował. Człowieka, który nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą, będąc przykuty do ściany!

Zastanawia mnie to, dlaczego „bestya w człowieku“, w Prusakach silniej się ujawnia, niż w innych szczepach. Czyżby dlatego, że to nie rasa czysta lecz bastardy niemieckich i słowiańskich szczepów?

Numrosky jednak jest nietylko hakatystą. Doświadczyl tego więzień, świeżo przybyły do lazaretu, kupiec Rosenberg z firmy Marcasse (fabryka mebli) w Bydgoszczy. Jest to diabetyk i odrazu dostał się do więziennego szpitala na pobyt paromiesięczny, a że posiadał jakąś protekcję do dyrektora, więc mu bez wszelkich trudności pozostawiono własną bieliznę i własne jego ubranie, nie mówiąc już o tem, że dostał i własną szczotkę do włosów i grzebień, czego np. mnie dyrektor odmówił. I dozorca lazaretowy dostał też polecenie, aby się dobrze obchodził z Rosenbergiem.

Leec Rosenberg pomimo to nie uszedł mściwości Numrosky'ego, który z amatorstwa ludziom dokucza. W przeddzień swego wyjścia na urlop, t. j. 22 lutego, Numrosky umieścił Rosenberga w celi № 6, gdzie dotychczas przebywali sami syfilitycy. Umieszczono go w tej celi bez uprzedniej dezynfekcy materaców lub kołder. Ograniczono się szorowaniem podłogi. W tej to celi № 6 przebywał kilkanaście miesięcy, aż po listopad 1902 r., Maschke,

człowiek z gnijącym ciałem i olbrzymimi ociekającymi ranami na nogach. Przebywał tam kilkakrotne operacje. Po nim stała cela pusta. Potem był w niej jakiś Pfitzner, który z wyprawy pruskiej do Chin przywiózł sobie jakiś podobny bukiet. Potem (zawsze bez dezynfekcyi), wpakowano do tej celi umierającego suchotnika Byśkiewicza, któremu już nie wogóle nie zaszkodzi, a teraz—Rosenberga.

Dezynfekcyja tu istnieje wogóle w teoryi.

26 lutego 1903.

W pierwszych dniach stycznia r. b. umieszczono w sali górnego piętra waryata nazwiskiem Baum. W nocy dyżur odbywał stale dozorca Warnes. Baum pewnej nocy nagle wyskoczył z łóżka, pobiegł do drzwi i w mgnieniu oka, zanim dozorca zdążył się zerwać z krzesła, był już za drzwiami, zatrzasnął zasówkę i znalazł się na korytarzu sam, uwięziwszy w ten sposób dozorcę. Na szczęście właśnie wtedy nadszedł inny dozorca, odbywający nocne patrole co godzinę i złapał Bauma za kark już blisko schodów.

Gdzieindziej z tego faktu wysnuto by wniosek, że należy podwoić czujność i dozór nad waryatami, lecz we Wronkach inna logika panuje. Aby nie mógł powtórzyć się wypadek wyżej opisany — dyrektor skasował zupełnie dyżur nocny w sali chorych! Wszystkich więc i ciężko chorych, zamykają na noc na klucz bez dozorey, a kto ma zamiar umrzeć, lub dostać krwotoku i t. p., ten powinien urządzić się

w ten sposób, aby albo się zawczasu zgłosił, albo czekał, aż nadejdzie nocny patrol.

Z więźniami w sali głównej sypia jedynie współwięzień-służący, do którego dyspozycyi dano dzwonek, połączony z główną stacją nocną w więzieniu centralnem. Skutki tego zaniedbania dozoru nad ciężko chorymi i waryatami, okazały się niebawem.

Wczoraz (t. j. 25 lutego) około godziny 9^{3/4} wieczorem słyszę, odzywa się dzwonek na alarm. Dzwoni raz, drugi, trzeci — dziesiąty: bez skutku. Dzwonienie szybkie, gwałtowne, przebija z niego jakieś niebezpieczeństwo. Dzwonienie takie powtarza się z przerwami, ale bezskutecznie, do godziny 10^{1/4}. Wreszcie zacząłem walić pięściami w ścianę, aby zbudzić innego służącego, śpiącego w sąsiedniej celi na parterze. Z ledwością go budzę, on słyszy też dzwonek i domyśla się, że żądam, aby i on alarmował. A w celach służących jest jakieś przedpotopowe urządzenie—drut, który przez dwa podwórza prowadzi, aż do furty więziennej i porusza tam dzwonek. Mój sąsiad otóż, przerażony mojem pukaniem i odgłosem dzwonka na górze, szarpie za swój dzwonek tak gwałtownie, że słyszać nagle trzask—dzwonek się zrywa. Jesteśmy odcięci od świata. On coś do mnie krzyczy głośno, nie słyszę.

Na szczęście u furty dosłyszano szarpnięcie drutem i po małej godzinie tego alarmu zjawili się wreszcie dozorca. Słyszę po ich wejściu na piętro—zgiełk, hałas, bieganie, znoszenie kogoś do piwnic. I oto okazuje się, że to waryat Kuropka dostał nagłego napadu i rzucił się na dozorcę służącego Staniszewskiego, ten zaś dzwonił o pomoc.

Gdyby waryat był trochę silniejszy, mógłby pomordować wszystkich w sali i spalić cały budynek, w sali bowiem pali się całą noc lampa.

Rano melduję moje spostrzeżenie dozorczy: rewidują dzwonki, pokazuje się, że elektryczny nie funkcjonuje, a druciany się zerwał.

Dyrektor tego więzienia nazywa się Max Rüstow.

9 marca 1903.

Jest tu od niedawna waryat Kuropka, Ślązak, młody, 20-letni chłopak skazany za zbrodnię gwałtu. Co parę dni dostaje gwałtownych ataków obłądki, które—jak przypuszczam, są bezpośrednim następstwem znęcania się nad nim. Sam byłem świadkiem wprawdzie nielicznych tylko wypadków pastwienia się nad tym waryatem, ale to, com widział wśród białego dnia, wystarczy, aby sobie wytworzyć pojęcie, co dozorczy z nim wyprawiać muszą wśród czterech ścian.

Lekarz kazał Kuropkę dwa razy wykąpać. Kąpiel dla waryatów tutaj jest przedmiotem panicznego strachu, bo wiedzą, że z reguły jest połączona z biciem. Więc Kuropka opierał się i gwałtem musiano go zaciągnąć do wanuy przed południem, gwałtem po południu. Nie obeszło się przytem bez kułaków. Na rozkaz dozorczy Mörkera, bił Kuropkę więzień Staniszewski, dozorujący chorych. Sam Mörker też silnie uderzał Kuropkę. Wiem to z opowiadań samego Staniszewskiego.

Natomiast naocznym świadkiem byłem następującego zajścia.

Popołudniu był mróz silny. Mnie w futrze wcale nie było za ciepło, gdym się przechadzał około 3-ej po ogrodzie szpitalnym. Przechadzając się wzdłuż muru w pewnej odległości do budynku lazaretowego, przypadkowo rzuciłem spojrzenie na okno, wówczas otwarte, które oświetla klatkę schodową w budynku od strony ogrodu. I widziałem, jak dozorca Mörker za kark sprowadzał z pierwszego piętra po schodach więźnia Kuropkę: jedną ręką ujął go za kołnierz z tyłu tak silnie, że miałem wrażenie, że Kuropka się dusi, bo twarz mu spąsowiała i nabrzmiała, a drugą ręką, uzbrojoną w pęk kluczy, uderzał go silnie w biodra, to w głowę, to po ramionach.

Po chwili zjawil się Kuropka w ogrodzie lazaretowym w towarzystwie więźnia Staniszewskiego. Był cały siny i pąsowy, dygotał jak w febrze, nie mógł kroku postąpić. Staniszewski z tyłu silnymi kułakami zmuszał go do postępowania. Kuropka, jakem się dowiedział od Staniszewskiego, dopiero co się kąpał w gorącej wodzie i nawet ubrany był tylko w płytkie pantofle, włożone na gołą nogę, bez skarpetek, w drelichowe spodnie (bez spodniej bielizny), i w taką kurtkę. Tak ubranego kazał go Mörker prosto z wanny wyprowadzić na mróz co najmniej 9 stopniowy, połączony z silnym wiatrem.

Nie mogłem znieść tego widoku istoty ludzkiej, nękaniej ciąglem biciem i narażonej na pewną śmierć wskutek gwałtownego zaziębienia, zakaza-

łem więc Staniszewskiemu bić go w mojej obecności, a współwięźniom Kuroпки, przywołanym do okna, kazałem rzucić przez okno szlafrok, aby choć trochę zabezpieczyć waryata od zimna.

Na moje zlecenie szlafrok zrzucono przez okno do ogrodu, ale Mörker za to tych więźniów ukarał.

Bez daty.

Służący Franz Kaminsky (Niemiec) potwierdza, że był świadkiem, jak Mörker bił nieraz Kuropkę oraz Bergmana. Więzień Peters kilkakrotnie słyszał, jak lekarz zakładowy usilnie zalecał dozorcę Numrosky'emu, aby łagodnie obchodził się z więźniami, a zwłaszcza, aby nikt z dozorców nie posunął się do uderzenia któregokolwiek z obłąkanych. Lekarz nawet nie przypuszcza co tu wyprawiają dozorczy.

Z lekarza wogóle każdy więzień jest zadowolony i nie spotkałem takiego, któryby się skarżył przedemną w poufnej rozmowie. Mianowicie stara się lekarz bardzo o to, aby więźniowie chorzy byli dobrze odżywiani. Co do mnie, wcale nie skarżę się na jedzenie, gdyż—jak na więzienne—jest ono wcale niezłe (naturalnie w szpitalu). Ale na cóż te wszystkie zabiegi lekarza się przydadzą, jeśli dozorczy przez bicie więźniów przysparzają wciąż waryatów!

W końcu marca np. niemal co noc przyprowadzano tu jakiegoś nowego kandydata do domu waryatów. Jest ich obecnie w wielkiej sali I-go pięt-

ra — pięciu, z których jeden tylko Kuropka był tu już przed nowym rokiem, a ci czterej to nowi i stanowią świeży produkt tutejszego systemu więziennego. Skoro tylko się nazbiera większa liczba waryatów, to ci, którym za pomocą katowania odebrali dozorecy resztę zmysłów, bywają odstawiani do prowincjonalnego zakładu dla obłąkanych (w Owińskach) jako nieuleczalni. Kuropka też pojechał do Owińsk w pierwszych dniach kwietnia. Pod koniec pobytu tutaj zezwierzęciał do tego stopnia, że zjadał własne odchody. Przy jednej z takich okazji zawałał miskę do jedzenia. Miski tej (z emaliowanej blachy) nie wycofano wcale z obiegu, owszem, kursuje ona i kursować będzie na chlubę czystości i porządku pruskiego, dopóki te słowa moje nie spowodują gruntownej rewizji więzienia we Wronkach.

Innym przyczynkiem do szkicu nieporządków w tutejszem więzieniu jest wręcz nieprawdopodobny napozór fakt, że nie używają tu żadnych odwanianających dezynfekcyjnych proszków, pomimo, że kubły do nieczystości stoją w każdej celi. W dodatku wypróżniają te kubły tylko raz na 24 godzin! W Wrocławiu wypróżniają kubły dwa razy na dobę, w Poznaniu nawet trzy razy, naturalnie tu i tam posypują zawsze trochę proszku odwanianającego. A we Wronkach kubły te bez dezynfekcji stoją po 24 godzin w celi każdego więźnia i to w tej samej, gdzie on przez cały dzień pracuje, śpi, je.

Dowiaduję się ciekawych szczegółów o niektórych przełożonych więzienia tutejszego. Opowiada mi więzień Morgenstern, że pewnego dnia prowadził dłuższą rozmowę prywatnej natury z sekre-

tarzem dyrekcji, nazwiskiem Pigulla. Pigulla bardzo się z Morgensternem przyjaźnił, często do niego przychodził i chwalił się przed nim, że on (t. j. Pigulla) jest najglówniejszą osobą w więzieniu, a wszyscy inni, w pierwszej linii dyrektor Rüstow, są to ludzie bez wszelkiego wykształcenia. Ponieważ on, Pigulla, skończył wydział prawny i był nawet sędzią, więc dyrektor o każdą bagatelę go się pyta i sam zupełnie się bez niego nie potrafi obejść. Jak twierdził Pigulla, dyrektor Rüstow dostał dymisyę w stopniu kapitana pułku pionierów kolejowych i odbył w Berlinie tylko sześciotygodniową praktykę do służby cywilnej, poczem go natychmiast zrobiono dyrektorem centralnego więzienia. Niema pojęcia o prawie i zna się tylko na komenderowaniu żołnierzami; dla niego każdy więzień—to zwyczajny żołnierz, dozorca—to podoficer; podwładni mu wyżsi urzędnicy więzienni—to oficerowie; a on sam, Rüstow—to komendant fortecy.

Pewnego razu Pigulla przyszedł do Morgensterna i zastał go w bardzo przygnębionem usposobieniu. (Morgenstern był skazany na pięć lat za sprzeniewierzenie wojskowych pieniędzy). Pigulla zaczął go pocieszać, mówiąc: „Czego się pan smuci? Czy to pan jeden siedział w więzieniu? Inni ludzie też siedzieli“. Mówiąc to, wyjął z notatnika jakiś bilecik i podał go Morgensternowi do obejrzenia. Z tego bileciku (który był pozwoleniem na urlop 6-cio godzinny z fortecy) przekonał się Morgenstern, że Pigulla sam siedział w więzieniu, czy fortecy.

Potem przy sposobności zapytał się Morgenstern nauczyciela więziennego Glatzla o tę sprawę

Pigulli i dowiedział się, że Pigulla istotnie był sędzią, lecz kiedyś upił się do tego stopnia, że go stróż nocny musiał przyaresztować za awantury uliczne po nocy, on zaś stróża pobił, krzyčząc, że „on jest sędzią, to jemu wszystko wolno”. Wskutek tego za bójkę ze stróżem nocnym dostał dymisyę i 6 miesięcy aresztu w fortecy.

Morgensternowi zaś potem blagował, że siedział w fortecy za pojedynek. Miał widocznie na myśli ten swój pojedynek—ze stróżem nocnym.

Później Pigulla wyniósł się z Wronek. Morgenstern mówił, że przyszedł do niego się pożegnać, twierdząc, że otrzymał posadę dyrektora w centralnem więzieniu w Tegel pod Berlinem. O ile to prawda, nie wiem. W każdym razie ten kwiat sądownictwa pruskiego tam będzie miał jeszcze więcej sposobności do pojedynków ze stróżami nocnymi, poczem spotkają go dalsze... awanse.

Do lazaretu dostawiono znowu jednego więźnia, który dostał obłądu w centralnem więzieniu (t. j. przy pracy). Jest to niejaki Stanisław Bergman. Niebawem po przybyciu do lazaretu stał się ofiarą niełudzkiego obchodzenia się dozorców z więźniami. Raz wzięto go z innymi więźniami na spacer do ogrodu i sprawiał się dobrze, gdyż jest to spokojny i cichy, trochę głupkowaty chłopak. Nazajutrz kazano mu leżeć w łóżku i na spacer nie zabrano, bo dozorca miał jakąś pilną robotę w swem biurze, a jego obawiał się zostawić w ogrodzie bez dozoru. Ponieważ jednak Bergman się napierał koniecznie spaceru, widząc, że inni więźniowie spacerują, wpakowano go do celi waryatów, ciemnej, zupełnie go-

łego. Tam wpadł w furię i od trzech dni przebywa na barłogu.

W ten sposób z łagodnego obłędu, graniczącego z melancholią, jaki się ujawnia u większości więźniów, przekształca się chorobliwy stan w furię; potem zaś furiat, złamany ciemnością i biciem, wpada w zupełną niewrażliwość i osłupienie i odjeżdża do domu waryatów nieraz na całe życie.

Widziałem już wielu takich i przebieg ich umysłowej choroby zawsze był jednaki — a Bergman pewnie nie jest ostatnim, przed którym się taka oto otwiera przyszłość. Wronki — to fabryka waryatów.

Dnia 24 kwietnia 1904.

Ręka mi drży z oburzenia, gdy kreślę te słowa w moim pamiętniku. Znowu byłem tego świadkiem, jak tłukli nieszczęśliwego waryata otwarcie, bezczelnie, w biały dzień.

Jest to Stanisław Bergman, najnowsza z ofiar tych zbrodniarzy.

Ponieważ w ogrodzie Bergman wolał stać na miejscu i wygrzewać się na słońcu, niż chodzić, dozorca Mademann wziął go nagle za kark i zaciągnął za małą murowaną budkę, służącą do przechowywania nafty. Mademann sądził, że tam nikt nie będzie widział, co on robi z Bergmanem, gdyż budka znajduje się w samym rogu ogrodu, tak, że między nią a murem, otaczającym ogród, jest tylko wązkie małe przejście.

Gdy Mademann zaciągnął Bergmana za tę budkę, ja znajdowałem się wtedy w odległości ze 25 kroków od budki. Obok mnie stał Wilhelm Schwittay, radca kancelaryjny z Gniezna. Obaj zupełnie dokładnie słyszeliśmy głucho uderzenia pięścią i brzęk równoczesny kluczy. Powiedziałem natychmiast do Schwittaya: „Teraz dozorca bije Bergmana pięścią, w której trzyma klucze więzienne”. Zaczęliśmy się zbliżać do budki, aby osobistą interwencją zapobiedz dalszemu znęcaniu się, gdy wtem wyleciał z za budki Bergmann, pchnięty (niewidzialnym dla nas uderzeniem) tak gwałtownie, że spadła mu po drodze czapka, a on byłby upadł, gdyby się nie zaczepił jakoś o mur. Wśląd za nim wyszedł Mademann, cały rozczewrzeniony. Bergman był sino-blady i stał oparty o mur, trzęsąc się, niezdolny postąpić kroku. Mademann, widząc nas w pobliżu, podniósł mu czapkę i kazał włożyć na głowę.

Byli świadkowie, którzy lepiej odemnie i od Schwittaya mogli obserwować tę scenę bicia Bergmana. Był to nauczyciel Westfal, kupiec Rosenberg i robotnik Lawrenz. Westfal z Rosenbergiem spacerowali wzdłuż muru i właśnie byli zwrócenii w stronę budki do natty w chwili, gdy Mademann bił Bergmana. Obaj też potwierdzili mi najzupełniej stanowczo, że widzieli, jak Mademann jedną ręką ujął Bergmana za gardło, aby ten nie mógł krzyczeć, zaś drugą ręką, uzbrojoną w pęk kluczy, uderzał go, gdzie trafił — w głowę, po twarzy, w piersi. Spostrzegłszy, że Westfal i Rosenberg widzą go, Mademann z Bergmanem posunął się kilka kroków dalej, za budkę, tak, że skryć im się

musiał. Lecz tu właśnie wysunął się przed spojżenia innego świadka, Lawrenza, którego nie mógł zauważyć.

Lawrenz stał po drugiej stronie budki z naftą, ale traf zdarzył, że Mademann, usunąwszy się z przed oczu Westfala i Rosenberga, stanął właśnie przy okienku budki, podczas gdy z drugiej strony, przy przeciwległym okienku stał Lawrenz i w ten sposób przez dwa okna mógł widzieć doskonale, co się dzieje za budką. Na moje zapytanie, co widział, oświadczył Lawrenz, że gotów przysiędź, iż widział, jak Mademann, trzymając Bergmana za piersi, pod gardłem, bił go pięścią po twarzy, a gdy ten się zastawiał rękoma, schwytał go za kark i walił po karku pięścią z kluczami. Były to te uderzenia, których głuchy odgłos słyszałem oddalony będąc o 20 kroków.

Na tem nie skończyło się znęcanie się Mademanna nad biedakiem. Gdy wszyscy więźniowie w pół godziny później wracali do cel, Lawrenz znowu widział z ukrycia, jak Mademann, obejrzawszy się, czy kto nie patrzy, prowadził na schody Bergmana jedną ręką za kark, a drugą wymierzał silne uderzenia.

W ten sposób Mademann zaprowadził chorego na pierwsze piętro. Zaledwie weszli na górę, gdy ja, stojąc w korytarzu na parterze, usłyszałem nad sobą dzikie wrzaski i gwałtowne uciekanie po górnym korytarzu. Domyśliłem się, że to znowu gonitwa za Bergmanem, aby go bić. Wtem z góry zbiega po schodach służący Witkowski i bierze z kuchni grubego pręta trzeirowy, wiszący tam zwy-

kle dla trzepania materaców. Powstrzymuję go i pytam, po co ten pręt? On mówi: „na Bergmana” i ręką robi gest, oznaczający bicie. Mówię mu: „nie noś!”. A on na to: „Mademann kazał sobie przynieść, bo go ręka boli od bicia”. I pobiegł. Rozpoczęły się po chwili znowu jęki i krzyki.

Poszedłem wtedy do dzwonka elektrycznego i zadzwoniłem, aby oderwać oprawcę od ofiary. Uciębło wszystko nagle i po chwili zjawił się Mademann. Powiedziałem mu: „Taki pan zajęty Bergmanem, że mi pan zapomniał otworzyć drzwi do celi i zamknąć mnie”. Zaczerwienił się, nic nie odrzekł, i zamknął mnie.

Jak się dowiedziałem później, jeszcze raz poszedł na górę, zabrał Bergmana do sali chorych (skąd jego krzyki do mnie dolatywać nie mogły) i tam go jeszcze bił. Chorych wtedy innych w sali nie było, prócz jednego zupełnego idyoty (małoletniego), ale był świadek — służący Józefowicz z Inowrocławia.

25 kwietnia 1903.

Więzień Alfred Moses chce pod przysięgą zeznać, że w ubiegły wtorek, czy środę, około południa słyszał jak bito jakiegoś więźnia w celi kąpielowej, rozebrawszy go do naga. Słyszał było uderzenia laski po gołym ciele. Kogo bili, niewiadomo. Na służbie był tego dnia Numrosky.

26 kwietnia 1903.

Lawrenz oświadcza, że widział, jak dozorca Mörker wraz ze służącymi kąpał biednego Bergma-

na w ten sposób, że zanurzyli go w zimnej wodzie i trzymali mu głowę pod wodą. Bergman pewnie już długo nie wytrzyma. Podobno nie nie je, — wygląda zaś jak trup chodzący.

27 kwietnia 1903.

Wziąłem dziś Numrosky'ego do siebie na rozmowę, powiedziałem mu, że mi są znane wszystkie przestępstwa jego i jego kolegów wobec więźniów i że nie mogę obojętnie dalej na to patrzeć: jeśli więc najmniejsza skarga mnie dojdzie ze strony więźniów, to zrobię użytek z tego, co wiem — a wtedy tu te grube mury będą drżały, skoro ja wszystko wywlokę na światło dzienne.

Mienił się wszystkimi barwami tęczy. Wreszcie zaczął się tłumaczyć, że on tylko w obronie własnej parokrotnie uderzył więźniów, zaś za kolegów nie odpowiada, ale przyrzekł, że Mademanna przestrzeże.

30 kwietnia 1903.

Karol Peters w obecności Alfreda Mosea opowiada mi co następuje, zapewniając, że każdy szczegół gotów zaprzysiądz przed sądem:

W początku października 1901 przebywał w lazarecie więziennym umysłowo chory August Hebel (Hövel? Ebel?) pochodzący z Oliva pod Gdańskiem. Opuścił on więzienie w tymże miesiącu.

Pewnego dnia, gdy wszyscy chorzy znajdowali się w ogrodzie, dozorca Numrosky kazał służącym: Franciszkowi Szymańskiemu, oraz Thomasowi, aby pochycili Hövela z tyłu i zanurzyli go głową na dół w beczulce, napelnionej deszczówką, wpuszczonej w ziemię niedaleko studni. W beczulce tej znajdowało się wówczas dużo wody stęchłej, pokrytej zielonym mchem. Rozkaz Numrosky'ego został wykonany i chory więzień wpakowany do tej beczulki głową na dół, a nogami do góry. Ponieważ po tej operacyi na ubraniu więźnia zostały ślady zepsutej, cuchnącej deszczówki, a nadto porosty wodne, zaprowadzono go zatem do studni i sam Numrosky, założywszy gumowego węża do wodociągu, puścił na Hövela ostry strumień czystej zimnej wody, aby go obmyć, przyczem obaj służący go trzymali.

Potem wzięto Hövela do budynku lazaretowego do celi łazienkowej i tam bito tak, że znajdujący się w ogrodzie więźniowie słyszeli nietylko wrzask bitego, ale i odgłos uderzeń.

Świadców tego zajścia w ogrodzie było około 20. Między innymi: 1) Stanisław Krzymiński z Inowrocławia, robotnik; 2) Juliusz Maschke, handlarz warzyw w Bydgoszczy; 3) Reinhold Krüger z Rudamühle; 4) opowiadający Karol Peters; 5) Edward Franke z Chojnie (czasowo w Brunświku); 6) Franciszek Oborski, w Poznaniu, więzienie karne; 7) Szczawiński, kupiec z Bydgoszczy; 8) August Voss, robotnik w Gdańsku, Kummigasse.

21 maja 1903.

Zmarł tu dziś więzień Beczkiewicz. Przed 2 czy 3 laty przybył do Wronek jak najzdrowszy, zaźębł się wskutek lekkiej odzieży więziennej i dostał *bronchitis putrida*. Tu zaś w szpitalu, pod wpływem leżenia na niedezynfekowanych materacach po suchotnikach, nabawił się suchot, które — od jesieni 1901 r. — doprowadziły go do grobu.

Przed śmiercią chciał list napisać do żony, ale że sam nie mógł napisać, więc prosił dyrekcję, aby ktoś za niego to zrobił i koniecznie po polsku napisał, bo on ani jego żona po niemiecku nie rozumieją. Jego prośba nie została wykonana i na parę godzin przed śmiercią gorzko się uskarżał na to przed radcą kancelaryjnym Schwittayem z Gniezna.

Po śmierci Beczkiewicza powiedziałem dozorey Mörkerowi w obecności Schwittay'a: „Wiem i ogłoszę, że tu od roku już ani jednego materaca, ani jednej kołdry nie dano do dezynfekcyi. Niech mi władza wytoczy proces, a ja zawezwę jako świadka urzędnika, dozorującego inwentarz więzienny, Korseka; — niechaj ten pod przysięgą zezna, czy choć jeden przedmiot z lazaretu dano mu do dezynfekcyi, odkąd ja tu jestem! Nie dano ani jednego, i to przez oszczędność, bo kołdry i materace przez dezynfekcyę niszczą się bardzo”.

Gdym mu to powiedział, Schwittay dodał: „Urzędników tutejszych czekałoby za to więzienie”.

Mörker tak się zląkł tego, że, nic nie mówiąc, oddał natychmiast materac i kołdrę po Beczkiewi-

czu do dezynfekcyi. Jest to pierwszy wypadek odkąd tu jestem.

W tych dniach kilkakrotnie usiłował mnie namówić dyrektor sam i przez pośrednictwo innych urzędników, abym podał prośbę do cesarza o ulaskawienie.

Kategorycznie odmówiłem. Nie zadawałnając się dwukrotną odmową z mej strony, przyczem zazaczyłem, że postąpić tak muszę z zasadniczych motywów, dyrektor raz jeszcze mnie namawiał, zapewniając, że moje uwolnienie byłoby zupełnie pewnem, gdybym podpisał prośbę o ulaskawienie.

Tymczasem ja nie potrzebuję ich łaski, lecz tylko prawa. A trzymają mnie w więzieniu bezprawiem. Niebawem po przybyciu mojem do Wronek odwiedził mnie obrońca mój, dr. Celichowski, adwokat z Poznania. Mieliśmy konferować w sprawie wznowienia mego procesu. Inspektor policyjny Kramaschke, nie zważając na protest mój i mego obrońcy, nie pozwolił na rozmowę bez świadków i udaremnił w ten sposób konferencyę z obrońcą.

Największy zastęp chorych w zakładzie karnym we Wronkach tworzą: 1) chorzy na suchoty; 2) chorzy umysłowo. Fakt ten jest bezpośrednim wynikiem: 1) wilgoci¹⁾, niedostatecznego ubrania

¹⁾ Budynek więzienny jest tak zimny, że jeszcze 18 maja (1903 r.) musiano palić w lazańcie, a w budynku centralnym zaczęto ogrzewanie 22 sierpnia (1904 r.).

i przeciążenia więźniów pracą¹⁾, jakoteż 2) systemu celkowego, odosabniającego najzupełniej więźnia; 3) złęgo obchodzenia się z więźniami. Za najmniejsze wykroczenie dyrektor sadza do aresztu ciemnego na kilka dni, t. j. pozbawia więźnia światła, postania, pożywienia i częściowo ubrania.

Przytem wbrew przepisom praca trwa dłużej, niż 10 godzin i to z uszczerbkiem przechadzki na świeżem powietrzu.

Podług przepisów przechadzka powinna się odbywać rano od 8 do 9 i popołudniu, począwszy od 2-ej. Tymczasem przechadzka poranna wcale się nie odbywa, a tę godzinę więźniowie muszą pracować. Również w niedzielę powinna się rozpocząć przechadzka podług przepisu o 1^{1/2} i trwać do 4^{1/2}. Tymczasem rozpoczyna się (zawsze) o 2-ej i trwa do 4-ej.

22 maja 1903.

Przed paru dniami pełnił służbę popołudniu (w zastępstwie) dozorca Reck. Przyprawdzono do lazaretu po raz pierwszy chorego na głowę Franciszka Janiszka z Raszkowa (W. ks. Pozn.). Służący Witkowski i Józefowicz z polecenia dozorca wzięli go do kąpeli, nurzali głowę pod wodę, a następnie (zawsze z nakazu Recka) szarem mydłem umyli mu głowę i czoło tak, że nazajutrz skóra z czoła mu zślzła jak łuska... Pokazywał mi czoło i mówił: „do-

¹⁾ Wstawać trzeba tu w zimie, czy w lecie o 5^{3/4} rano, gdzieindziej zaś znacznie później.

zorca chciał, abym się opił wody z mydłem, alem ja w porę wyskoczyć zdołał!”

Najciekawszem jest to, że Janiszek jest tu przysłany z więzienia raskowskiego czy koźminskiego „na kuracyę“, bo cierpi wciąż na bóle głowy.

Tak to wygląda „kuracya“ więźniów chorych we Wronkach!

Urzednicy więzienni we Wronkach robią dobre interesy, użytkując pracę więźniów, za którą kasie więzienniej płać bajecznie małe ceny. Wszystkie domy urzedników otoczone są warzywnymi ogrodami, których uprawą zajmują się więźniowie pod kierownictwem dozorców. Za cały dzień roboty, jak np. okopywanie ogrodowizni i t. d. płać urzednicy po 10 fenigów dziennie od każdego więźnia, czyli za jedną markę na dzień mogą najać dziesięciu chłopca do pracy w swych ogrodach.

To samo czynią i względem rzemieślników uwięzionych. Nauczyciel protestancki Minning, urzednik więzienny, kazał sobie zrobić ze swego materiału garnitur frakowy. Za robotę zapłacił aż 3 m. 75 fen.! (1 rb. 70 k.).

21 czerwca 1903.

Przez kilka tygodni, aż do dnia dzisiejszego przebywał w lazarecie więziennym Westphal, były nauczyciel. Jest to młody człowiek, bardzo inteligentny i zdolny, który od kilku lat jest już wię-

źniem we Wronkach za pewne poważne przestępstwo kryminalne. Westphal, pomimo, że więzień, jest dziś tu prawdziwą głową więzienia i pracuje więcej od wszystkich urzędników więziennych razem wziętych. Z próżniactwa i nieuctwa bowiem urzędnicy wyżsi, mianowicie Rüstow i jego podwładni, inspektorowie więzienni, wyręczają się Westphalem we wszystkich zajęciach biurowych i niema działu w zarządzie więziennym, gdzieby Westphal nie był obznajmiony z najdrobniejszymi szczegółami, urzędnicy bowiem znoszą do jego celi wszystkie dokumenty i materiały, niezbędne do relacji piśmiennych, i biedny Westphal ślęczy za nich od rana do nocy, podczas gdy oni nic nie robią.

Często rozmawiałem z Westphalem i przez niego miałem sposobność zaglądania do rozmaitych ksiąg urzędowych, które mu dano do dyspozycji, aby wygotował różne potrzebne referaty. Trzeba bowiem wiedzieć, że i referaty, przesyłane z Wronek do ministerjum, do Berlina, nie są wcale dziełem dyrektora Rüstowa, jakkolwiek jego podpis pod nim widnieje, lecz są dziełem Westphala.

Naturalnie wynotowałem sobie rozmaite dane, dotyczące więzienia tutejszego, a zaczerpnięte z tej urzędowej statystyki.

Cena kosztu i wartość pożywienia, które dostają więźniowie we Wronkach, przedstawia się na podstawie urzędowych obliczeń dyrekcji więziennej jak następuje:

Obiad (t. j. porcja zupy) 8 do 9 fenigów.
Najdroższą potrawą są dawane raz na miesiąc

ryby z kartoflami. Porcja (na głowę) kosztuje 11 fenigów.

Mleka w kawie porannej powinno być (na głowę) 0,1 litra, ale też uśmieliśmy się nieraz z tego z Westphalem, wiedząc z własnego doświadczenia, że zarząd nie daje nawet połowy tego przepisanego minimum.

Zanotowałem sobie charakterystyczną próbkę nieuctwa tutejszych urzędników więziennych, którym brak poprostu elementarnego wykształcenia.

Tutejszy dostawca mąki do zakładu więziennego dostawiał długi czas mąkę, która nie miała pełnej wagi. Otóż inspektor Kramaschke miał upomnieć się o braki. Podług kontraktu powinien był dostawca dawać mąkę taką, aby każde 100 kg. mąki dawało 138 kg. chleba. Tymczasem otrzymano od niego dziewiętnaście tysięcy kilo mąki gorszej, która dawała chleba 135 kg. (zamiast 138 kg.) z każdych 100 funtów. Inspektor Kramaschke nie był w stanie wyliczyć, o ile funtów miał się upomnieć zakład więzienny; przyleciał do Westphala, aby ten za niego zrobił to obliczenie.

Lecz i Rüstow, dyrektor więzienia, jest człowiekiem równie rozległej wiedzy, a że z tytułu swej posady musi raz po raz dać jej próbki, więc zawsze wyręcza się kim innym.

W maju r. b. odbył się na Zielone Świątki w Sztuttgardzie powszechny zjazd wszystkich dyrektorów zakładów karnych w Niemczech. Przydzielono Rüstowowi referat o odżywianiu więźniów. Rüstow znalazł się w ogromnym kłopotcie i wreszcie, nie wiedząc jak wybrnąć, zdał sprawę wypra-

cowania referatu więźniowi Westphalowi. Ten, niemal o ścianę oddzielony odemnie, pracował nad tym referatem i — co najkomiczniejsze — mnie nieraz zapytywał o niejedno, czego na podstawie materiałów i książek dostarczonych przez dyrektora nie był w stanie sam dobrze opracować.

Co najpocieszniesze, — że Westphal, zrobiwszy sumienną statystykę *) za czas od października 1902 do kwietnia 1903, przekonał się, iż więźniowie stracili przeszło 20% wagi. Takim wynikiem naturalnie dyrektor pochwalić się nie mógł, i polecił Westphalowi, aby inaczej zestawiał statystykę.

Biedaczysko Westphal się pocił i mózg suszył nad zadaniem, jakby tu wyrachować, aby obniżkę wagi zredukować. Dyrektor mu wreszcie polecił, aby nie wciągnął do rachunku swego wszystkich chorych. Westphal więc chorych z rachunku usunął i uzyskał w ten sposób rezultat — około 15%. I na to Rüstow się nie zgodził. Odliczono więc i tych, którzy mieli być chorymi, to znaczy, że jeśli się pokazało, że który z więźniów w późniejszym czasie został przez lekarza zakwalifikowany do lazaretu, to już nie uwzględniano jego ubytku wagi w miesiącach, poprzedzających chorobę. W ten sposób doszedł Westphal do 13%. Lecz i to było za dużo dla Rüstowa. Więc Westphal odliczył wszystkich tych, którzy świeżo przybyli do więzienia i na których przejścia moralne mogły wywołać

*) Każdego więźnia co miesiąc ważą.

wpływ niekorzystny, pozbawiając ich wagi. Lecz uzyskane w ten sposób 11% nie zadowoluiły Rüstowa. Doradziłem wtedy Westphalowi, aby nie uwzględniał tylko tych świeżo przybyłych, którzy istotnie spadli w wadze ciała, aby zaś wliczył tych wszystkich, którym wagi przybyło; a prócz tego, aby z pomiędzy chorych i rekonwalescentów również wyłowił tych, którym przybyło wagi. W ten sposób fabrykując statystykę doszedł Westphal wreszcie do rezultatu, że od 1 września 1902 do 1 kwietnia 1903 r. więźniom ubyło na wadze 10%. Tym rezultatem musiał się Rüstow zadowolnić, bo bardziej fałszować statystyki się nie dało. Ale zauważył Westphalowi, aby tenże tej liczby nie podawał czasem w elaboracie, przeznaczonym jako odczyt na zjazd dyrektorów więzień, bo w żadnym innym roku utrata wagi nie była tak znaczna.

Dlatego więc statystyka ta przesłana została jedynie jako referat do ministryum, zaś o „odżywianiu więźniów” Westphal wypracował dla Rüstowa referat bardziej teoretyczny, oparty na obliczeniach t. zw. k a l o r y i, czyli jednostek ciepła, wywiązujących się z różnego rodzaju potraw. Tym odczytem błysnął Rüstow w Stuttgarcie, podczas gdy prawdziwy autor jego pozostał nieznanym.

30 czerwca 1903.

Przechadzając się dziś po ogrodzie w towarzystwie rady Schwittaya, byłem widzem niezwykłego faktu. Pod pompą ręczną, znajdującą się

w ogródku, stał klozet pokojowy tak strasznie zawałany, że nie podobnego wyobrazić sobie nie można. Widzieliśmy obaj pełno długich grubych robaków, które w niezliczonej masie napelniały klozet. Zapytałem służących, zajętych czyszczeniem tego mebla, co to ma znaczyć. Odpowiedzieli mi, że ten kubeł po śmierci jakiegoś chorego nie został wcale wy czyszczony, lecz, pełen odchodów ludzkich, stał od zeszłego lata w pralni, pod budynkiem lazaretowym, aż się w nim załęgły robaki. Służący, którzy ten kubeł myć musieli, byli to: Józefowicz (z Inowrocławia), i Fr. Kamiński. Prócz mnie, świadkiem był i Schwittaj, radca kancelaryjny z Gniezna.

Przy tej sposobności notuję to, co mi opowiadał, (o podobnym fakcie) więzień Peters i inni. Nie zanotowałem tego zaraz, gdyż wydawało mi się ich opowiadanie niewiarogodnem, ale teraz wierzę w jego prawdziwość.

Jak podaje Peters, w czerwcu czy w lipcu 1902 umarł w celi № 20 pewien suchotnik, pochodzący z Berlina, z zawodu kelner. Nazywał się (zda je się) Bergmann. Nazajutrz po jego zgonie, lekarz więzienny, znajdując się właśnie u Petersa, nakazał dozorecy Numrosky'emu przeprowadzenie specjalnie sumiennej dezynfekcyi celi: wymycie ścian od góry do dołu rozezynem lysolu, pozostawienie okien i drzwi otworem przez osiem dni, dezynfencyę materaca i łóżka za pomocą pary.

Nazajutrz również Peters słyszał, jak, przechodząc obok jego celi, lekarz zapytał Numrosky'ego, czy dezynfekcyja wykonana i otrzymał odpowiedź potwierdzającą.

Tymczasem absolutnie nie wyczyszczono celi. We trzy miesiące później tę samą celę zająć miał więzień Morgenstern i wtedy dopiero zniesiono ruchome graty na dół do ogródka, w celu wymycia pod studnią.

W kubelku do zlewania wody, jeszcze była woda od mycia — pokryta grubą zieloną pleśnią i grzybem na parę palców grubości. W kuble dla odchodów znajdowała się duża warstwa zielonej zgniłej masy.

Polecono oczyszczenie tych rzeczy więźniowi Kropidłowskiemu, stan tych rzeczy zaś poświadczyć mogą naoczni: Lawrenz, Peters i Maschke. Służący Chmielewski też przyznał na ich zapytania, że to był sprzęt po zmarłym przed trzema miesiącami więźniu.

5 lipca 1903.

Edward Franke, pochodzący z Chojnic ¹⁾, był świadkiem, jak dozorca Mörker, wraz z dwoma służącymi, znęcali się nad jakimś chorym żydkiem, za to, że tenże, będąc już prawie umierający, zanieczyszczał łóżko. Bili go. Umarł niebawem. Franke posiada bliższe szczegóły i tylko na moje żądanie powstrzymał się z doniesieniem do prokuratury aż do chwili, gdy rozpocznę publikację materiałów, obciążających zarząd więzienia we Wronkach.

¹⁾ Adres łatwo dostać może prokurator od jego brata, właściciela kopalni węgla brunatnego w Brunświku (Braunschweig)

Wogóle więźniowie i niektórzy z dozorców wiedzą, że przygotowuję publikację jakiegoś „tajnego” pamiętnika o więzieniu we Wronkach; dozorecy jednak nie przypuszczają jak ciężki materiał przeciw nim zawiera się w pamiętniku. Jednakowoż mają się na baczności i teraz niema już jaskrawych przykładów znęcania się nad więźniami, których dozorecy podejrzewają o udawanie choroby. Służący Fr. Kamiński podsłuchał urywek rozmowy dwóch dozorców. Mörker mówił do Numrosky’ego: *Wenn nur der Achte* ²⁾ *fort ist, werden wir die Kerls bald kuriren!* Ale póki ja jestem, boją się kurować chorych—kijem.

8 lipca 1903.

Mogę sobie powiedzieć, że uratowałem Bergmana od śmierci przez zagrożenie dozorcóm, że oddam ich prokuratorowi, jeśli będą go bili. Już bowiem wyglądał jak trup chodzący, obłąd miał w oku, a chód człowieka zahypnotyzowanego, gdy przestali się pastwić nad nim wskutek mojej interwencji.

Obecnie, po paru tygodniach przyszedł już potrosze do siebie, rozmawia zupełnie przytomnie, dobrze wygląda. Pokazywał mi w ustach ślad po zębie, który mu wybito, gwałtem pakując żelazny lejek do zaciśniętych szczęk, gdy wzbraniał się pić mleko. — Niejaki Stanisław Kaczmarek, czeladnik piekarski z Inowrocławia, opowiada, że w czasie gdy

²⁾ T. j. ja, gdyż zajmowałem celę Nr. 6.

on był w sali chorych, wraz z Bergmanem, widział, jak dozorca Feik, pełniący nocną służbę, Bergmana, zupełnie wówczas spokojnego, uderzył kilkakrotnie długim ciężkim kluczem między żebra, tak „że aż mu żebra zatrzeszczały“. Bergman mi potwierdza, że ten sam dozorca (z nazwiska ja dopiero mu go wymieniłem), często go bił bardzo. W tymże czasie był w sali świadkiem innych znęcań się Paul Reimar, murarz z Malbarga (Marienburg W. Pr.), chory na różę w kolanie.

Bergman opowiada, że raz okuto go w łańcuchy na ręce i nogi i tak okutego zawieszono na łańcuchach, na haku o pół metra nad podłogą. Wisiał tak od 3 popołudniu do 6 rano nazajutrz. Wskutek tego zeszała mu skóra z rąk w zgięciach, w miejscach, gdzie były kajdany. Ślady krwawe po tem na jego rękach sam widziałem jeszcze w parę tygodni.

Ostatni raz go uderzono dnia 24 czerwca. Świadkiem tego był Alfred Moses. Natychmiast kazał się meldować do dyrektora, aby go powiadomić o tem.

Gdy mi się zwierzył z tym zamiarem, rzekłem do niego wtedy: „To niema sensu, bo dyrektor Rüstow sam proteguje bicie więźniów“. Lecz Moses mnie nie posłuchał i zażądał rozmowy z dyrektorem, zaznaczając, że chce mu zakomunikować fakty bicia więźniów.

Pomimo to Moses ani nie był wezwany do dyrektora, ani też dyrektor do niego nie przyszedł.

Dopiero dzisiaj, t. j. 8 lipca, w przeszło dwa tygodnie, dyrektor Rüstow, obchodząc wszystkich

więźniów (rewizję taką odbywa raz na miesiąc) musiał się widzieć z Mosesem. Nie zapytał go wcale o tamtą jego sprawę, dopiero Moses sam go zaczepił, mówiąc:

— Bergmana bili!

— Widziałeś? — odrzekł na to nasrożony Rüstow.

— Widziałem na własne oczy! — odpowiedział uparty Moses, a wtedy na niego wrzasnął Rüstow:

— *Was geht Sie das an? Sie sind ein gemeiner nichtswürdiger Kerl!* („Co to cię obchodzi podły nizekzemny drabie“)?

Zwymyślał go temi słowy i odszedł, nie zważając na to, że Moses odpowiedział: „Nie mogę na to patrzeć bezczynnie, jak się znęcają nad chorymi“.

Nazajutrz uparty Moses, chcąc koniecznie doprowadzić do ukarania winnych, wniósł skargę na ręce lekarza. Dopiero lekarz spowodował śledztwo. Lecz śledztwo zostało zakończone przez dyrektora w ten sposób, że Mosesowi odczytano groźne ostrzeżenie dyrektora, zapowiadające mu karę aresztu w ciemnej celi, o chlebie i wodzie, jeśli by śmiał raz jeszcze podobne fałszywe oskarżenia wnosić na dozorców.

Przy tej sposobności zaznaczam, że dwaj dozorczy, Kikebusch i Hoppa, zostali w lecie 1962 oskarżeni przez więźnia Michelsona o to, że go bili. Dyrektor wcale ich nie ukarał.

25 lipca 1903.

Umarł dziś więzień Litberg. W pełnem znaczeniu tego słowa jest to ofiara więzienia we Wronkach.

W początku r. b. (zdaje się w marcu) przysłano go do Wronek z więzienia w Gdańsku — na kurację, gdyż tutejszy szpital więzienny uchodzi za ostatni wyraz higieny. Lekarz gdański stwierdził początki suchot, a i tutejszy lekarz, zdaje się, był tego samego zdania, bo zatrzymał go w lazarecie i zapisał jaknajpożywniejsze jedzenie. Po kilku tygodniach Litberg czuł się znacznie zdrowszy i w maju prosił lekarza, aby pozwolił mu pracować przez lato razem z więźniami, którzy zajmują się pracą ogrodową.

Lekarz, bardzo racjonalnie sądząc, że praca na świeżem powietrzu tylko dobre wyniki dać może dla pacjenta, zgodził się na jego prośbę, pod warunkiem, że Litberg będzie zatrudniony pracą na świeżem powietrzu. To rozporządzenie lekarza słyszał wyraźnie w swoim czasie służący Fr. Kamiński. Litberga więc wzięto z lazaretu.

Tymczasem Rüstow, który sądzi zazwyczaj, że jako dyrektor nie potrzebuje uwzględniać przepisów lekarza, postanowił o losie Litberga inaczej, niż lekarz. Oświadczył mu, że do roboty w ogrodach przeznaczyć go nie może i rozkazał zatrudniać go w celi. Wzięto biedaka do roboty szczotek. Jest to zajęcie w wysokim stopniu niehigieniczne, robotnik bowiem oddycha wciąż kurzem. Przytem w cen-

tralnym budynku więźniom przy robocie odbierają kaftany ciepłe już w kwietniu, a prowadzą na spacer zaledwie pół godziny na dzień. Wynik był ten, że w połowie czerwca przyniesiono Litberga (na imię mu Georg Jerzy) znów do lazaretu. Sam już nie mógł chodzić, stan jego był beznadziejny, krew buchała mu ustami strumieniem. Nic nie pomogła najtroskliwsza opieka lekarza, który był zdumiony, dowiedziawszy się, że wbrew jego przepisowi, zasadzono Litberga do roboty w celi, a nie na świeżem powietrzu — i w dodatku kazano mu robić szczytki. Lekarz nie chciał dać wiary temu.

Rozmowę jego z dozorcą Numroskym podsłuchał Fr. Kamiński i mnie zakomunikował. Dnia 25 lipca Litberg zmarł. Przed śmiercią prosił mnie za pośrednictwem Petersa, abym opublikował, kto go zgubił, i abym poruszył tu myśl, czyby z kasy fiskalnej nie można było uzyskać za jego śmierć odszkodowania dla jego matki. Jest ona wdową po robotniku, miała tylko jego jedynaka, jej adres brzmi: Rosa Litberg, geb. Koltyboska, St. Adalbert (St. Albrecht?) Vorstadt, Gdańsk!

26 lipca 1903. *

1) Franciszek Olejniczak (z Poznania, Jeżyce opuszcza więzienie we wrześniu 1903 i zaraz wstępuje do wojska).

2) Józef Tamol (z Jabłkowa, p. Gniezno, wyjdzie z więzienia w końcu 1903).

3) Stanisław Józefowicz (z Inowrocławia).

Są to trzej służący, których odkomenderowano specjalnie do pilnowania chorego na obłąd Antoniego Nowaczka, który wyjdzie z więzienia w połowie 1904 r.

Dozorca kazał im bić go i bili go silnie, aż ma całe plecy sine i poranioną głowę. Przez trzy dni trzymano Nowaczka w piwnicy, a gdy bałasował, musieli go na rozkaz dozorecy Numrosky'ego zawinąć w mokre prześcieradło i trzy koce wełniane, a potem usiąść wszyscy trzej na nim, „*damit ihm die Puste ganz ausgeht* (aby całkiem oddech utracił).

Co się dalej działo z Nowaczkiem, nie mogłem się dowiedzieć.

W połowie listopada 1903 r. wskutek niedyskrecyi osoby, odbierającej odemnie listy drogą tajemną, wykryto stosunki moje z dozorcą Molikiem. Biedaczysko Molik przyznał się odrazu do wszystkiego, znaleziono bowiem przy nim jakąś kartkę, przeznaczoną dla mnie. Ale charakter jego w nieszczęściu nie okazał się stałym. Zamiast bowiem powiedzieć, że wszedł ze mną w styczność z pobudek idealnej, narodowej natury, wymyślił bajkę, że go przekupił. Był widocznie pewien, że w ten sposób na mnie zwali winę, i sądził widocznie, że ciężkoby go ukarano, gdyby się przyznał, że polskość jego była mu jedynym motywem. Ale tem właśnie ściągnął na siebie i na mnie sprawę karną o przekupstwo, której byłby uniknął, gdyby był powiedział prawdę. Godnem jest zaznaczenia, że na pierwszych przesłuchach podał zeznania najbardziej

zbliżone do prawdy, a dopiero po czterech dniach śledztwa wymyślił bajkę o rzekomem przekupstwie.

Na rozprawie sądowej w marcu 1904 r. znalazłem się w tem przykrem położeniu, że musiałem dowodzić Molikowi kłamstwa, a to dla jego własnego dobra, gdyż groziłaby mu kara domu karne-go, gdyby sąd uwierzył jego zeznaniom. Jego własny obrońca wzywał sędziów, aby mu nie wierzyli, gdyż on się oskarża o przekupstwo jedynie w tym celu, aby nie być zmuszonym do przyznania się, że „polskość“ była mu motywem wykroczenia.

Przynajmniej w części udało mi się uratować go od grożącego niebezpieczeństwa, gdyż sąd skazał go tylko na karę więzienną, nie wiele co większą od tej, którą i mnie nałożył w wysokości nowych 9 miesięcy.

Proces Molika smutne we mnie budził refleksye; był on mi dowodem, jak bardzo służba w urzędach pruskich deprawuje członków naszej narodowości, skoro taki Molik, który w tajemnicy dawał mi dowody żywego poczucia narodowego, nie znalazł w sobie dość odwagi, aby publicznie powiedzieć: „zrobiłem to, bo jestem Polakiem!“—Wolał się raczej oskarżyć o niedorzeczne przekupstwo, siebie i mnie wciągnąć w nowe więzienie, niż publicznie wyznać, że jest Polakiem.

A iluż to takich jeszcze znalazłoby się wśród urzędników pruskich!

Naturalnie rewidowano niesłychanie ściśle wszystkie moje rzeczy. Niniejszy pamiętnik uszedł

konfiskacie dzięki szczęśliwemu pomysłowi, który zastosowałem w celu przechowania moich notatek. Pisałem je otóż na takim samym papierze, jakiego używałem stale do brulionów moich prac naukowych w więzieniu. Bruliony te, z rozporządzenia dyrektora zeszywane po 10 arkuszy w celu kontroli, zaopatrywałem w napis widoczny na czele każdego zeszytu: „*Koncepte zum Vernichten*“ (Bruliony do zniszczenia). Zupełnie tak samo zeszyłem moje notatki, pisane oczywiście z umysłu bardzo nieczytelnie i zaopatrywałem zeszytiki w miarę wysyłania w napis: „Bruliony do zniszczenia“. Tak zabezpieczone przed ciekawem okiem i umyślnie przeze mnie poprzekreślane, notatki te leżały na najwidoczniejszym miejscu na moim stole. Gdy rewidowali urzędnicy więzienni, nic nie znaleźli; gdy rewidował pierwszy prokurator z Poznania specjalnie przybyły w celu odszukania tych tajemnych moich papierów, kompromitujących władze więzienne ¹⁾, notatki te miał nawet w ręku, lecz ich nie zabrał do przejrzania, bo szukał ich w materacu, w poduszkach, w piecu i pod podłogą; to samo i sędzia śledczy Hickmann we Wronkach książki mi z opraw wyjmował, szukając „wklejonych“ kartek z pamiętnika, ale nikomu z nich nie przyszło do głowy, że te niebezpieczne notatki mogą się „ukrywać“ na najwidoczniejszym miejscu, zaopatrzone jedynie w dopisek: „do zniszczenia“!

¹⁾ Że papiery takie miałem, wiedziały władze z listu tajemną drogą wysłanego, który przyłapała policja w Poznaniu.

Poszukując tych pamiętników natrafił sędzia Hickmann na ślad innej mej „zbrodni“. Oto, aby położyć kres znęcaniu się nad więźniami, Alfred Moses zręcznie skradł owe obie trzciny, których używali dozorczy do bicia więźniów, i w porozumieniu zemną zakopał je w ogródku. Przy śledztwie z powodu mojej sprawy przesłuchiowano Mosesa, który coś bąknął o tych trzcinach. Dyrektor Rüstow myślał, że mądrze zrobi, jeśli do sądu da na mnie skargę, że zarządowi więziennemu ukradł dwie trzciny. Z tego powodu wywiązała się między mną a sędzią Hickmanem we Wronkach interesująca rozmowa tej treści:

Hickman: Czy to prawda, żeś pan podma-
wiał więźniów przeciw dozorcóm? Przecież pan nie
zaprze się, że pan zapytywał więźniów, czy dozorczy
ich biją?

Ja: Widziałem, jak bito jednego więźnia i py-
tałem go, czy bardziej boli, gdy biją kluczami, czy
też trzcina...

Hickman nagle zaczyna w tej chwili czyścić
sobie paznogie. Po chwili milczenia mówi:

Hickman: Ale to pan przyznaje, że pan za-
brał samowolnie należące do więzienia dwie trzciny,
aby je zabrać ze sobą do Galicyi?

Ja: Niestety, ten pomysł mi nie przyszedł do
głowy, jakkolwiek w muzeach naszych znalazłoby
się miejsce dla takich kijów. U nas bowiem ta-
ka metoda kuracy chorych jest nieznaną...

Hickman (przerywa): O kijach będziemy
mówili potem. Obecnie muszę pana zapytać o spra-
wę Molika.

Skoro rozmowa o sprawie Molika się skończyła i sędzia składać począł swe papiery, zauważyłem skromnie, że mi obiecał osobno pomówić o tych trzeinach, rzekomo skradzionych; dodałem przytem, że w protokule dzisiejszym jakoś pominął całkiem rozmowę naszą o tym przedmiocie.

Odpowiedział na to: „sprawa ta będzie przedmiotem osobnego dochodzenia przeciw panu”.

Na to dochodzenie czekam — do dnia dzisiejszego.

Panie sędzio Hickman, panie prokuratorze Stamer, panie dyrektorze Rüstow — dlaczegoście „zapomnieli“ o tem, że sprawa usunięcia tych trzein, któremi biją we Wronkach chorych więźniów, miała być przedmiotem osobnego dochodzenia przeciwko mnie?

— — — — —

W ciągu roku 1904 przebywałem znowu w centralnym budynku więziennym. Odebrano mi możliwość pracowania umysłowo, zatrudniono składaniem kopert.

Do pamiętnika dorzucić mogę niewiele szczegółów.

W lecie 1904 widziałem podczas przechadzki na podwórzu jak (nieznany mi z nazwiska) dozorca cisnął koszem do zbierania jarzyn w więźnia, który coś zrobił nie po jego myśli, — uderzenie było tak silne, że więzień się przewrócił.

Doznałem wiele bezwzględności ze strony Rüstowa, który nie mógł zapomnieć tego lekceważenia, z jakim traktowałem go podczas śledztwa i widocznie chciał się mi odplacić. W szczególności nie

wchodzę, bo nie warto — jak wogóle o swoich krzywdach starałem się najmniej wspominać w toku opowiadania. To jedno tylko wspomnę, że gdy w lipcu czy w sierpniu silnie zachorowałem tak, iż lekarz kazał mi tydzień leżeć w łóżku, stwierdziwszy (i to rano) 39° gorączki, dyrektor Rüstow tego samego dnia zawezwał mnie do swego biura, tak iż musiałem się ubrać, zejść na dół, przejść szereg korytarzy i w korytarzu czekać z pół godziny wśród przeciągów na „audyencyę“ u Rüstowa.

Dnia 20 listopada (w niedzielę) miał służbę dozorca Feik. Dozorował spacerujących po podwórzu więźniów. Tu widziałem, jak pięścią w piersi uderzył więźnia Stanisława Krzymińskiego z Inowrocławia.

Ile tam takich aktów brutalnego znęcania się nad biednymi więźniami mogło zajść od czasu gdym wyszedł z więzienia?

Opuściłem więzienie 4 grudnia 1904 r., po upływie trzech lat i dwóch miesięcy. Zostałem wszędzie duże zmiany — ale i ja wyszedłem z celi więziennej wewnątrz zupełnie przekształcony, całkiem inny. Nie pora i nie miejsce tu na autoanalizę psychologiczną: zmiany uwidocznic się powinny w namacalnych śladach.

Nie odnalazłem też już dawnego pola mej działalności publicystycznej; pismo, z którym się żyłem, przeszło w inne ręce. Wśród innych warunków, w innej dzielnicy rozpoczynam więc nową fazę pracy — ale pod dawnymi hasłami.

Dla użytku prokuratoryi pruskiej, która — jak sądzę — zechce rozpocząć śledztwo w sprawie omówionych tu faktów, podaję poniżej adresy i bliższe szczegóły, dotyczące świadków, wymienionych przezemnie:

1. Karl Peters, b. Kornelius Peters, in Schmierblock, post. Käsemark.

2. Reinhold Krüger, Ruda - Mühle b. Rogasen.

3. Stanisław Kaczmarek, Inowrocław, Dziekan-ka, Nr. 17.

4. Franz Kaminsky, Seefarer w Praust, b. (Dan-
zig), Gdańsk.

5. Wilhelm Schwittay, Kanzleirat, (Gnesen)
Gniezno.

6. Stanisław Kropidłowski, folwark Wonne,
p. Biskupiec, (Kreis Löbau W. Pr.).

7. Hebel (Hövel), w Oliva, p. Gdańsk.

8. Katt, robotnik w warsztatach okrętowych
w Neuwied, p. Gdańsk.

9. Stanisław Krzywiński, robotnik, Inowrocław.

10. Lawrenz, w Potulicach, p. Nakło, (W. ks. P.)

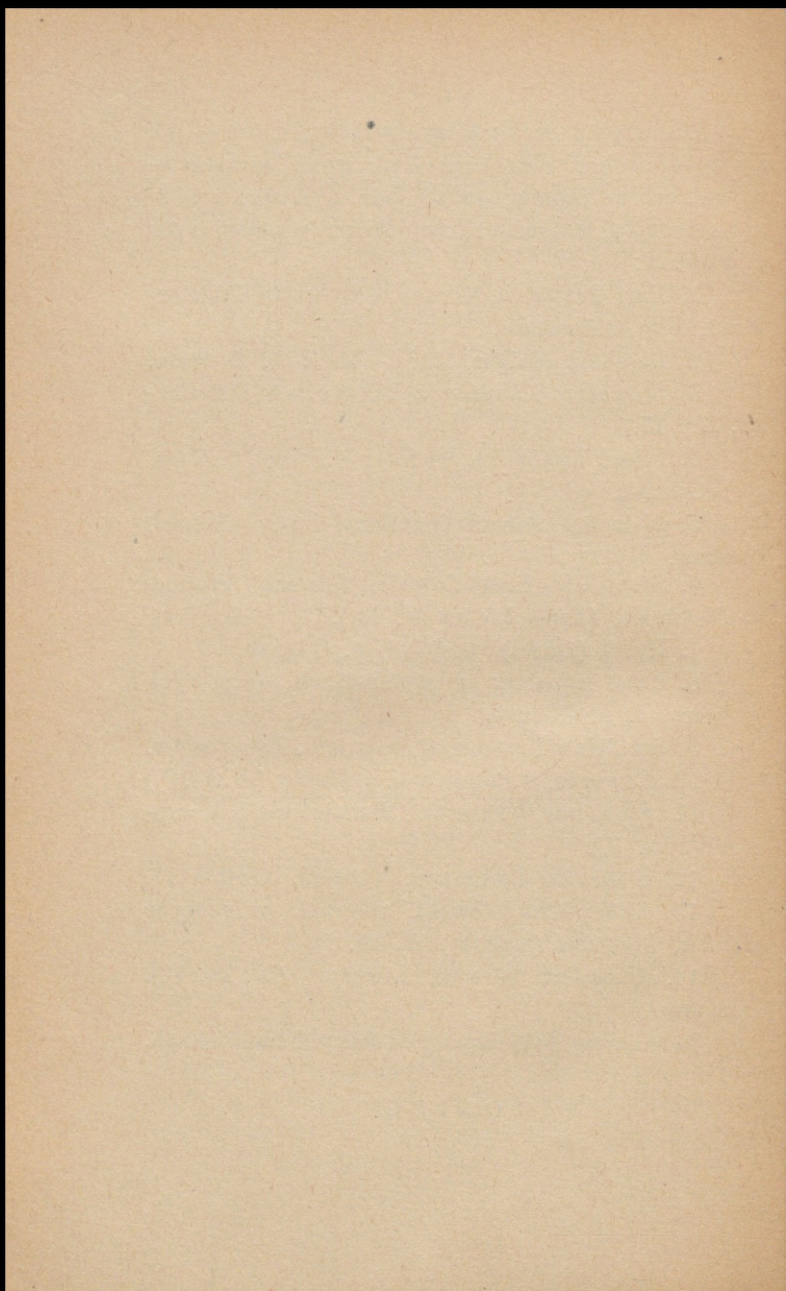
11. Stanisław Witkowski, Wodzieczna, p. Kemp-
no (W. ks. P.).

12. Stanisław Bergmann, Poznań, Grobla 17.

13. Antoni Chmielewski, robotnik w fabryce
majolik, Chodzież (Kolmar) W. ks. P.

14. Kazimierz Nowak, Libiszyn (W. ks. P.).
Dominium.

Inne adresy podane przy odnośnych nazwiskach.

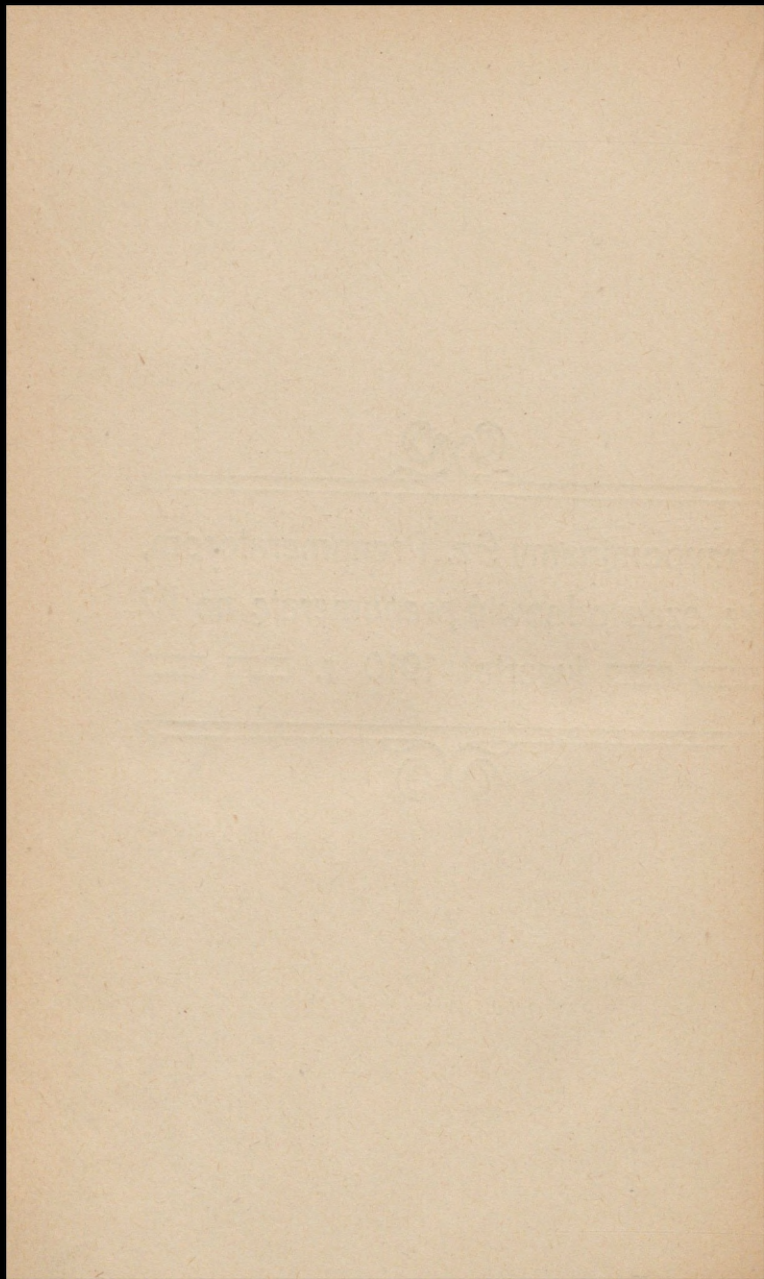




Przypominamy Sz. Prenumeratorom,
że czas odnowić prenumeratę na IV

kwartał 1910 r.





WYCIĄG Z KATALOGU
„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ
 WYBOROWYCH” (Warszawa, Sienna Nr. 2) i we
 wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1909.

| Tom. | | CENA | |
|-----------|--|--------------|------|
| | | w opr. brosz | |
| | | kop. | kop. |
| 569, 570. | A. Gruszecki. ZALOTY BIUROKRA- TY. Powieść 2 tomy | 1.10 | 80 |
| 571. | J. Andruszewski. NASTROJE 1 tom | 55 | 40 |
| 572. | Wł. Jagniałkowski. KARTKI Z PODRÓŻY PO INDŃ CHINACH 1 tom | 55 | 40 |
| 573. | M. Raczyńska. MOIZES. Powieść 1 tom | 55 | 40 |
| 574. | Z. Sokołowska. SYCYLIA I KALABRIA. Podróż 1 tom | 55 | 40 |
| 575, 576 | Wiktor Gąmulicki. ON I ONA. Po- wieść 2 tomy | 1.10 | 80 |
| 577. | Papus. WIEDZA MAGÓW 1 tom | 55 | 40 |
| 578, 579. | Z. Ćwirko. PO SZCZĘŚCIE. Kartka z pamiętnika 2 tomy | 1.10 | 80 |

| Tom. | CENA | |
|--|---------------|------|
| | w opr. brosz. | |
| | kop. | kop. |
| 580. Emil Reyeh. NIEMCY WSPÓŁCZESNE 1 t. | 55 | 40 |
| 581, 582. Abgar-Soltan. POLUBOWNA UGODA. Powieść 2 tomy | 1.10 | 80 |
| 583. J. Bourdeau. KIEROWNICY MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ 1 tom | 55 | 40 |
| 584. Robert-Louis Stevenson. DZIWNA HISTORIA D-ra JEKYLL'A i M-ra HYDE'A 1 t. | 55 | 40 |
| 585. Gryf. NA PRZEŁOMIE 1 tom | 55 | 40 |
| 586. M. Arcybaszew. ŚMIERC LAUDEGO 1 tom | 55 | 40 |
| 587. NAPOLEON NA WYSPIE Św. HELENY. Pamiętnik hr. Balmain'a. Przełożył Maciej Wierzbński 1 tom | 55 | 40 |
| 588, 589. M. Czerny. ZA CO? Powieść 2 tomy | 1.10 | 80 |
| 590. L. Paul-Dubois. IRLANDYA WSPÓŁCZESNA I KWESTYA IRLANDZKA 1 tom | 55 | 40 |
| 591. W. Lutosławski. JAK TANIO PODRÓŻOWAC?—Wędrowki iberyjskie 1tom | 55 | 40 |
| 592. Władysław Renard. ONE 1 tom | 55 | 40 |
| 593, 594. Lafcadio Hearn. LOTOS 2 tomy | 1.10 | 80 |
| 595. Ignacy Grabowski. PAMIĘTNIKI RUPIECIA 1 tom | 55 | 40 |
| 596, 597. Ludwik Włodek. NA ZIEMI WASZYNGTONA 2 tomy | 1.10 | 80 |
| 598, 599, 600. Selma Lagerlöf. DZIWIY ANTYCHRYSTA. Powieść 3 tomy | 1.65 | 1.20 |
| 601. CZĘSTOCHOWA. Opracował Włodzimierz Trąpczyński. | 40 | 25 |
| 602, 603. Antonio Fogazzaro. TAJEMNICA POETY. Z 26-go wydania włoskiego przełożyła Natalja Nagórna | 1.10 | 80 |
| 604, 605. Charlotte Perkins Gilman. KOBIETA A STAN EKONOMICZNY. Studya nad ekonomicznym stosunkiem mężczyzny do kobiety, jako ważnym czynnikiem ewolucyi społecznej. Przełożyła z oryginału angielskiego Marya Podlewska | 1.10 | 80 |
| 606, 607. Linankoski. KRWAWE KWIAŁ. Z fińskiego przełożyła Klemensiewiczowa | 1.10 | 80 |
| 608. Monty Jacobs. MAETERLINCK. Studium krytyczne. Przekład Maryi Kreczowskiej | 55 | 40 |
| 609. Ida Pilecka. Z ZA ŚWIATA | 55 | 40 |
| 610, 611. Björnstjerne-Bjornson. MARY. Powieść 2 tomy | 1.10 | 80 |
| 612, 613. V. Blasco Ibanez. KATEDRA. Powieść 2 tomy | 1.10 | 80 |

| Tom. | | CENA | |
|-----------|---|--------|--------|
| | | w opr. | brosz. |
| | | kop. | kop. |
| 614, 615. | Jagniątkowski. POLAK W LEGII CU- DZOZIEMSKIEJ. 2 tomy | 1.10 | 80 |
| 616. | Jerome-Jerome. TOMCIO i Sp. Humoreski | 55 | 40 |
| 617. | Kazimierz Laskowski (E). EKONOM TRA- GIK. Obrazek z życia wiejskiego | 55 | 40 |
| 618. | Wiktor Gomulicki. OPOWIADANIE O STA- REJ WARSZAWIE. 3 serya | 55 | 40 |
| 619. | Pamiętnik N. J. Mamajewa. ROSYANIN W POLSCE w latach 1838—1842 | 55 | 40 |

Rok 1910.

| | | | |
|------------------------------|---|------|------|
| 620, 621. | Kazimierz Przerwa-Tetmajer. ZATRA- CENIE. Romans | 1.50 | 1.20 |
| 622, 623. | Ludwik Jenike. ZE WSPOMNIENIĘ | 1.10 | 80 |
| 24, 625. | Wincenty Kosiakiewicz. JEJ CHŁOP- CY. Powieść | 110 | 80 |
| 626, 627, 629. 631 637, 638. | PAMIĘTNIKI JANA DUKLANA OCHOŃKIEGO | 3.30 | 2.40 |
| 68,2 | Juljusz Zeyer. KRÓL MENKERA. Tłóma- czyła z czeskiego Julja Kreczyńska | 55 | 40 |
| 630. | M. Jackiw. WIECZORNE PSOTY. Nowele ukraińskie | 55 | 40 |
| 632, 633. | W. Tan. OFIARY SMOKA. Romans z życia pierwotnego ludzkości | 1.10 | 80 |
| 634. | Wacław Abramowski, inżynier. LATAWCE (Aeroplany) | 75 | — |
| 635. | Prof. Dr. Marcin Ernst. O KOŃCU ŚWIA- TA I KOMETACH. | 55 | 40 |
| 636. | H. Bosma. DZIECI NERWOWE. Uwagi le- karskie, wychowawcze i ogólne. Przełożył Dr. Kazimierz Niedzielski. | 55 | 40 |
| 639. | Cecylia Walewska. JAK LIŚĆ ODERWANY OD DRZEWA. Powieść | 55 | 40 |
| 640, 641, 642, 643, 644. | Teodor Jeske - Choiński. ANGIELSKIEJ | — | — |
| 645. | Eliza Orzeszkowa. ASCETKA. Powieść | 55 | 40 |
| 646, 647, 648. | E. T. A. Hoffmann. DYABLE ELI- KSYRY. Przełożył Ludwik Eminowicz | 165 | 120 |
| 649. | Aleksander Bolesław Brzostowski. CI, KTÓ- RYCH ZNAŁEM. Garść luźnych wspom- nień, opisów i wrażeń | 55 | 40 |

| Tom. | | CENA | |
|--------------------------|--|---------------|------|
| | | w opr. brosz. | |
| | | kop. | kop. |
| 650. | Józef Miłkowski. Ze wspomnień legionisty. WYPRAWA DACHOMEJSKA | 55 | 40 |
| 651, 652, 653, 655, 656. | ŻYWOT BENVENUTA CELLINI'EGO. Własnoręcznie spisany we Florencyi. Z oryginału przetoczył i przypisa- mi opatrzył Stanisław Machniewicz | 275 | 200 |

Dostawcy Dworu



Jego Cesarskiej Mości

SKŁAD WIN J. LIJEWSKI i S-ka

w Warszawie, Krak.-Przedm. Nr. 8.

Firma istnieje od r. 1874.

POLECA:

Stare **wina Węgierskie, Francuskie** oraz wszelkie inne zagraniczne dla Chorych i Rekonwalescentów, nagrodzone **medalem złotym** na wystawie w Paryżu 1900 r. **Wina Mszalne**, których przysięgłym dostawcą firma w r. 1883 mianowaną została w cenach:

| | |
|---------------------------------|------------|
| Krymskie na szczepach Węg. but. | 70 k. |
| Francuskie Barsac. | „ 1 r. — „ |
| Węgierskie mszalne | „ 1 „ 15 „ |

Wyższe gatunki win tak w butelkach, jak i w beczkach podług specjalnych cenników, które na żądanie natychmiast wysyłamy.

Przy składzie win _____

Pierwszorzędna Restauracja,

ciesząca się od lat dawnych wielkiem uznaniem a ostatnio nagrodzona na wystawach w Warszawie i w Rosyji medalem złotym oraz dypl. honorowym.

Tow. Akc.

„FR. KARPIŃSKI W WARSZAWIE”

Elektoralna 35 Tel. 600.

Poleca

**KARPIŃSKIEGO
MYDŁO ALKALICZNE**

do mycia twarzy u osób z cerą tłustą, połyskującą, skłoną do wągrów i pryszczycy, oraz przy łuszczeniu się skóry.

Cena kop. 40 za szt.

W wypadkach uporczywszych używać należy

**KARPIŃSKIEGO
MYDŁA ALKALICZNEGO № 2**

Cena kop. 50 za szt.

**KARPIŃSKIEGO
MYDŁO OGÓRKOWE**

hygieniczne, usuwające opaleniznę i piegi.

Cena kop. 40 za szt.

**KARPIŃSKIEGO
MYDŁO NEUTRALNE**

znakomity środek do pielęgnowania twarzy, rąk, oraz ciała u dzieci.

Cena kop. 40 za szt.

Żądać wszędzie.

WARSZAWA

KRAKOWSKIE Przed. 55.

SZWAJCARSKIE
BLUZKI ODPASOWANE
HAFTOWANE.

PŁÓCIENKA, DRELISZKI, ZEFIRY.
MATERIAŁY NA UBRANIA MĘSKIE I DZIE.

CINNE W NOWYCH WIĄZANIACH.

ARTYKUŁY KĄPIELOWE.

NOWOŚCI NA DERKI

LETNIE DLA KONI

GŁÓWNY SKŁAD

ŻYRARDOWSKI

TELEF. Nr. 404.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!
SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE

HERBATA Z GÓR HARCU

(Dr Lauer's Harzer Gebirgstee). Zalecana przez najświetniejsze powagi lekarskie zatwierdzona przez Departament Medyczny przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu, jest jednym z najniezbędniejszych środków do utrzymania zdrowia. Napój ten przyjmowany w ilości 2—3-ch filiżanek tygodniowo, leczy wyrzuty liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, atretyzm cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy choleryny

Cena pudełka Rub. 1, pół pudełka 50 kop.

UWAGA. Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JÓZEF GROSSMAN

Warszawa, Śliska 33a. Kantor i skład w podwórz. Tel. 184 44.

Zamiejscowym wysyłam za zaliczeniem od 1 rubla z doliczeniem kosztów przesyłki podług taksy pocztowej. Wstrzegać się fałszyfikatów.



„GONIEC PORANNY I WIECZORNY“

NAJPOCZYTNIJSZE PISMO POLSKIE.

Wychodzi dwa razy dziennie przy współpracownictwie wybitnych publicystów i literatów polskich. GONIEC stoi na straży ideałów narodowych i wyznaje zasady szczerze demokratyczne. Wielka poczytność „Gońca Porannego i Wieczornego“ czyni go najodpowiedniejszym pismem dla wszelkich ogłoszeń.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje główny kantor: Zgoda 5,
oraz nasze filie i kantory.

Cena Prenumeraty „Gońca Porannego i Wieczornego“:

W WARSZAWIE: miesięcznie k. 60, kwartalnie rb. 1 k. 80, rocznie rb. 7, k. 20.

NA PROWINCJI: „ „ 75 „ „ 2 „ 25 „ „ 9 „ —

ZA GRANICĄ: miesięcznie rb. 1, k. 30, kwartalnie rb. 3 k. 90.

Zmiana adresu pocztowego kop. 20. Za odnoszenie miesięcznie kop 15.

Cena egzemplarza Gońca Porannego i Wieczornego 2 k. na prowincji 3 k.





19307/
H